EPOKA

ROK VI. | Warszawa, 15 kwietnia 1939 r. | ROK VI. Nr 11 (150)

NAKAZ RZECZYWISTOŚCI

Sytuacja jest wyraźna. Faszyzm wszelkich odmian i gatunków okazał się narzędziem wszechniemieckiego imperializmu. Zarówno w Europie, jak w Azji, Afryce i Ameryce zaborczy pochód wojennej „osi" zmierzającej do podboju świata, do ujarzmienia wolnych narodów, odbywa się pod sztandarem walki z demokracją. Trzy zachłanne imperializmy podały sobie ręce, związały się na śmierć i życie, utworzyły jeden, wspólny blok ideologiczny, skierowany przeciw wolności ludów.

Ale w tym trójkącie nie Rzym i nie Tokio dzierży ster polityczny. Najwyższe dowództwo znajduje się w Berlinie. Tam rezyduje sztab generalny światowej reakcji, tam jest Mekka faszystowskiego kościoła, tam jest ośrodek dyspozycyjny totalistycznej międzynarodówki. Tam jest kuźnia ideologii „narodowej", eksportowanej z hitlerowskich Niemiec na cały świat.

I niech nam nikt nie mówi, że nie ma bloków ideologicznych! Faszystowska oś wraz ze swymi przyjaciółmi, wasalami i satelitami tworzy blok ideologiczny, zagrażający wolności i bezpieczeństwu wszystkich narodów. Obaj wodzowie faszyzmu bynajmniej się z tym nie kryją. Przeciwnie, w ostatnich swoich przemówieniach wyraźnie podkreślili ideologiczny charakter osi, stwierdzili w obliczu całego świata, że Niemcy i Italia związane są wspólnością idei nacjonalistycznej, przeciwstawnej wszystkim prawnym i moralnym normom współżycia ludzkiego, obowiązującym w krajach demokratycznych i przyjętym powszechnie jako podstawa międzynarodowego porządku prawnego. Szczególnie ostro podkreślił to w swej ostatniej mowie Mussolini, drugoplanowa wielkość Faszinternu, posłuszny wykonawca berlińskich dyrektyw.

Ten ideologiczny charakter bloku przejawia się najwyraźniej w jego praktyce politycznej, w jego planowej, skoordynowanej pod jednym dowództwem, ekspansji zaborczej. Ideologia międzynarodowego faszyzmu, najklasyczniej sformułowana w programie hitlerowskim, posiada dwoistą treść polityczną. Jest jednocześnie społeczno-politycznym i kulturalnym (!) programem światowej reakcji i platformą pangermańskiego imperializmu. Powojenna rzeczywistość dziejowa stworzyła grunt, na którym wsteczne dążenia i tęsknoty żywiołów reakcyjnych w różnych krajach zbiegły się i sprzęgły z zaborczymi tendencjami odrodzonego imperializmu niemieckiego. Tylko na tym tle można zrozumieć paradoksalne na pozór zjawisko, że skrajny nacjonalizm grup faszystowskich i antydemokratycznych stał się w wielu krajach jawnym narzędziem niemieckiej polityki zaborczej; że podstawowe, wspólne elementy każdego „narodowego" programu faszystowskiego (totalizm, autorytaryzm, antysemityzm itd.) stały się regulaminem bojowym międzynarodowej armii faszyzmu, dowodzonej przez berliński sztab generalny i jego szefa, Adolfa Hitlera. Dwoisty charakter faszyzmu — jako narzędzia ekspansji niemieckiej i jako programu światowej reakcji — sprawia, że ugrupowania antyde-

mokratyczne i faszystowsko-totalne w różnych krajach są dziś forpocztami niemieckiego imperializmu, placówkami rodzimej Targowicy, ośrodkami kapitulacji przed Trzecią Rzeszą.

I to jest jeszcze jeden dowód, że oś jest blokiem ideologicznym: antydemokratyczna ideologia, antydemokratyczny reżim sprzyja polityce osi nawet w krajach, których narodowe interesy są obiektywnie, niezależnie od ich ustroju, sprzeczne z interesami mocarstw faszystowskich! I wszędzie w tych krajach walka z demokracją okazała się walką o powodzenie wszechniemieckiego imperializmu, o budowę Wielkich Niemiec, o pangermańską Mitteleuropę. In hoc signo vinces — Germania!

W ciężkich bólach porodowych, wśród trudności i oporów, wśród sabotażu monachijskich i hitlerofilskich klik na Zachodzie i Wschodzie naszego kontynentu, rodzi się blok — właśnie blok! — obrony. Blok państw pokojowych, blok krajów i narodów, które nie pragną żadnych zaborów, ale nie mogą i nie chcą stać się łupem faszystowskiego zaboru. To nie jest blok ideologiczny. Różnice ustrojowe czy ideowe między różnymi państwami, którym rzeczywistość narzuca współdziałanie obronne, są przecież bardzo wielkie. Nie można i nie trzeba ich ukrywać. Nie sięgając daleko, wskażemy tylko na ogromną rozpiętość między liberalną demokracją, tworzącą fundament ustroju państwowego Anglii, a systemem rządowym u nas, między reżimem rumuńskim czy greckim a parlamentaryzmem Zachodniej Europy. Bo nie o wspólność ideologiczną, ustrojową idzie w tej chwili. Rzecz polega na tym, że w obliczu wojennej, zaborczej, łamiącej wszystkie pakty i zobowiązania, polityki bloku faszystowskiego, państwa zagrożone tą polityką wkraczają, często wbrew ukrytym intencjom swych rządów, na drogę koordynacji wysiłków obronnych. Ideologiczny blok zaborczy walczy pod sztandarem faszyzmu. Tworzący się blok obronny państw zagrożonych grupuje się pod sztandarem pokoju i niepodległości.

I to jest istotny sens t. zw. koncepcji zbiorowej bezpieczeństwa, o której tyle się od pewnego czasu pisze, którą tak się zwalcza i krytykuje. Tu nie chodzi o żadne okrążenie Bogu ducha winnych mocarstw faszystowskich, o uduszenie Trzeciej Rzeszy, o międzynarodową krucjatę przeciw faszyzmowi. Tu nie chodzi o wciąganie państw i narodów w służbę takiej czy innej ideologii, na pożytek masonów, Żydów czy innych wrogów nacjonalizmu — lub antyniemieckich względnie antywłoskich szowinistów. Współdziałanie państw pokojowych, zmuszonych do obrony swych najżywotniejszych interesów, narażonych na szwank przez imperializm niemiecki i włoski — z innymi, których niepodległość jest bezpośrednio zagrożona przez ten sam imperializm: oto treść i podstawa tworzącego się bloku obronnego. — Środkowo-europejska rzeczywistość polityczna, utworzenie wszechniemieckiej Mitteleuropy i niedwuznaczne, ujawnione już, najbliższe cele polityki berlińskiej — wszystko to decyduje o koniecznościach i zadaniach, które stanęły dziś przed Polską. Droga nasza jest wyznaczona przez historię i położenie geograficzne. Żadne argumenty i sofizmaty publicystyki antydemokratycznej nie zdołały i napewno nie zdołają już przekonać zdrowo myślącej, patriotycznej opinii polskiej, że zbawienie naszego kraju spoczywa w zwycięstwie prądu faszystowskiego, w klęsce demokracji. Nikt nie wmówi nam, że droga wolności, którą wskazali nam bohaterowie powstań narodowych, myśliciele Wielkiej Emigracji, wieszcze czynu niepodległościowego — właśnie dziś, w obliczu nowej krucjaty despotyzmu, przestała być drogą narodu polskiego. Nikt nie dowiedzie nam, że interes Polski jest sprzeczny z interesem wolności europejskiej, z interesami państw i ludów, które łączą się dziś dla wspólnej obrony przed nawałą teutońską.

Miejsce Polski jest po stronie tych właśnie państw. Tego wymaga nasz interes narodowy. Polska jest, siłą rzeczy, w światowym obozie wolności i pokoju.

Dekada polityczna

Przygrywki do wielkiej gry.

„Manewry wiosenne" osi trwają dalej. Przeniosły się tylko nieco na Południe. Widownią ich nie jest już „protektorat czesko-morawski", spacyfikowany już ostatecznie, przynajmniej pozornie, ani Słowacja, gdzie na razie panuje cisza, przerywana tylko urzędowaniem Gestapo i gdzieniegdzie, pogromami Żydów. Skalisty kraj Skipetarów był głównym terenem akcji osi w ostatnich kilku dniach.

Okupacja Albanii to nie akcja wojenna. To przede wszystkim przygotowywanie pozycji strategicznej do nowej wojny, już na większą zakrojonej skali. To, jak okupacja Czechosłowacji, tylko przygotowanie do nowej, wielkiej wojny.

Podczas gdy w Londynie i Paryżu radzą, podczas gdy powstanie Wielkiego Bloku Pokoju niezbędnego dla obrony ludzkości przed osią opóźnia się i przeciąga wskutek reakcyjnych sympatii i antypatii kliki konserwatywnej w Wielkiej Brytanii, podczas gdy siły oporu w Anglii i Francji ciągle jeszcze hamowane są przez tych, co dotąd nie potrafili wyzbyć się monachijskich nałogów— wojenny sojusz totalizmów działa zwarcie, skoordynowanie, planowo, obsadza jedną po drugiej wyjściowe pozycje walki. Każdy z jego sukcesów stanowi dalsze, dodatkowe zagrożenie pokoju, bo każda dodatkowa pozycja napawa dyktatorów nową wiarą w powodzenie ich taktyki „błyskawicznej wojny", w możliwość ich szybkiego zwycięstwa, w możliwość roztrzaskania Zachodu.

Są to, rzecz jasna, złudzenia. Wszystkie sukcesy, odniesione przez oś, nie zrównoważą zasadniczych atutów Zachodu: olbrzymiego zaplecza surowcowo - ludnościowego, jakiego mu dostarczają Stany Zjednoczone i Sowiety, olbrzymiego bogactwa dóbr, olbrzymiego potencjału przemysłowego. Wojnę dyktatury przegrają. Nie ulega to wątpliwości. Ale ustępliwość monachijczyków może doprowadzić do jednego: że dyktatury zaryzykują wojnę, że pchną świat w odmęty krwawej zawieruchy, której żaden z ludów nie chce.

Albania — pozycją strategiczną.

Okupacja Albanii należy do tej kategorii pociągnięć, które można zrozumieć, których celowość można uznać przy jednym tylko, jedynym założeniu: że oś gotuje się do wielkiej wojny.

Bo czymże innym wytłumaczyć fakt, że Włochy rzucają wojska, samoloty i czołgi na zajęcie kraju, któ-

— i tak od lat kilkunastu jest ktyczną kolonią włoską? Rząd albański w zupełności zależny był od zymu. Nawet karabiny, którymi ziś partyzanci albańscy bronią się zeciw najezdnikom, pochodzą z bryk włoskich. Drogi, po których ziś posuwają się naprzód włoskie czołgi, budowane były również przez włoskich inżynierów, znajdowały się pod zarządem włoskich towarzystw drogowych. Wszystkie bogactwa kraju, przede wszystkim jego złoża ropy naftowej, oddawna eksploatowane były przez Włochów. Pocóż więc trzeba było chwytać się nagle taktyki zbrojnego podboju?

Względy gospodarcze? Usłużne pismaki włoskie i niemieckie rozpisują się już o przypuszczalnych bogactwach przyrodzonych kraju, pozostawionych bez wykorzystania przez feudalny reżym Zogu. Ale, po pierwsze—bogactwa te należą w dużym stopniu do kategorii legendarnych, po drugie zaś — któż byłby Włochom przeszkodził w ich udostępnieniu i eksploatacji? Napewno nie Achmed Zogu.

Względy prestiżowe? Doceniamy znaczenie ich dla faszysowskiego reżymu. Ale trudno przypuścić, by Mussolini dla samych tylko względów prestiżowych zaryzykował operację, która postawiła pod znakiem zapytania pakt angielsko-włoski, operację, która musiała poderwać autorytet Włoch w całym świecie muzułmańskim, operację, która we wszystkich państwach bałkańskich musiała wywołać falę nieufności i niechęci do Włoch. Minusy stanowczo przeważają tu plusy. Nie tylko na dalszą metę, jak przy okupacji Czech, ale nawet na krótką, najbliższą.

Pozostaje tylko jedno przypuszczenie: Albania potrzebna jest Włochom jako baza wojskowa, jako pozycja strategiczna. Jako pozycja mająca być użyta w tak krótkim czasie, pozycja o tak wielkim znaczeniu, że wobec tego znaczenia idą w kąt wszystkie motywy propagandowe, agitacyjne, dyplomatyczne. Okupacja Albanii stanowi jeszcze jeden dowód, że dzisiaj już nie polityka, nie dyplomacja a wyłącznie strategia, wyłącznie czynniki natury wojskowej decydują o pociągnięciach osi. To znaczy: że cała polityka osi oparta jest w tej chwili na założeniu bliskiego, wielkiego konfliktu, lub conajmniej jego prawdopodobieństwa.

Rzut oka na mapę wyjaśnia nam zresztą o co chodzi: zajęcie Albanii ma wykruszyć Jugosławię z bloku antytotalnego. Granica włoska, granica niemiecka, granica węgierska, granica bułgarska — teraz z kolei przybywa piąta granica albańska. Jedynie wąski pas, graniczący z Rumunią i drugi, równie wąski, granicy greckiej, są względnie bezpieczne. Pozatem Jugosławia, jak przed rokiem Czechosłowacja, otoczona jest ze wszystkich stron. Polityka p. Stojadinowicza przynosi owoce. Poza tym — obsadzenie Albanii utrudnia pozycję Grecji, związanej szeregiem porozumień z Wielką Brytanią.

Włochy na smyczy Berlina.

Okupacja Albanii posiada jedno istotne znaczenie: oto rozbija ona raz jeszcze złudzenia i sofizmaty tych wszystkich, co z ukrytej sympatii dla totalizmu i faszyzmu próbowali rozróżniać pomiędzy faszyzmem włoskim a nacjonalsocjalizmem niemieckim, co chcieli odwoływać się od Hitlera do Mussoliniego, co próbowali zamazywać ideologiczny charakter osiowej agresji.

Oś reaguje szybko, — z dumą pisała „Frankfurterka". — W dwa dni po naradzie szefów sztabu w Innsbrucku wojska włoskie przystąpiły do akcji. W dwa dni po naradzie z Niemcami. O ile nam wiadomo, nie było takiej narady sztabowej przed skokiem na Pragę. Tam nie trzeba było się pytać nikogo, tu trzeba zaciągać pozwolenie. Ten fakt świadczy, raz jeszcze: oś przypomina nie tyle spółkę dwóch równych sobie gangsterów, co „spółkę" myśliwego i jego wyżła. Pan strzela kiedy chce. Pieska spuszcza się ze smyczy, kiedy chce nie piesek a pan. Jedyne, co piesek ma zawsze, to jakiś ochłap ze wspólnie upolowanej zdobyczy. Nie ma już Faszinternu, jest za to Berlintern.

Nie tylko narada innsbrucka potwierdza naszą uwagę. Potwierdza ją zupełne podobieństwo metod „przyjęcia protektoratu", jakby skopiowane z wzoru niemieckiego (tylko, że feudał albański Zog, nie zgodził się na odegranie roli czeskiego Hachy). Przede wszystkim zaś za słusznością naszego poglądu przemawia stworzona obecnie — dobrowolnie i świadomie stworzona przez Włochy! — sytuacja międzynarodowa. Podobnie bowiem jak słowu niemieckiemu, tak i słowu włoskiemu nikt dziś, nawet najbardziej chętny do wierzenia, wierzyć nie może. Włochy dobrowolnie włączyły się w krąg izolacji, otaczający po zajęciu Pragi Trzecią Rzeszę. Uczyniły tak na rozkaz Berlina.

Przyjaciele monachijscy starają się jeszcze ratować, co można. Do tej chwili jeszcze p. Chamberlain usiłuje uniknąć konieczności wypowiedzenia włosko-angielskiego paktu wielkanocnego. Ponoć wysłał odręczny list do Mussoliniego, z prośbą, by, wzamian za milczące przyjęcie okupacji Albanii, zgodził się na wycofanie Włochów z Hiszpanii. W chwili, gdy te słowa dojdą do czytelnika, będzie już wiadomo, jaki był los tych propozycji. Będzie on symptomatyczny dla najbliższych zamiarów osi. Jeśli Mussolini okaże się głuchym na wszystkie zaklęcia i dopuści do wypowiedzenia paktu anglo-włoskiego, to znaczy, że oś spodziewa się konfliktu zbrojnego w najbliższych tygodniach. Jeśli, przeciwnie, raczy przyrzec ewakuację Hiszpanii i nawet demonstracyjnie wycofa kilkanaście tysięcy niepotrzebnych już tam arditi, to oznaczać to będzie, że oś bierze kurs na okres dłuższego, może do żniw ciągnącego się naprężenia, przy którym naprzemian puszczane będą w ruch to groźby i zaskakiwania, to stare przyjacielskie kontakty.

O jednym tylko nie ma mowy: by Mussolini zgodził się naprawdę wycofać z Hiszpanii. „Narodowa" Hiszpania, stworzona bagnetami wielbiących Mahometa „katolików" marokańskich i „Kastylijczyków" z Rzymu i Berlina, jest bowiem osi potrzebna dla wielkiej, bardzo wielkiej gry.

„Narodowa" Hiszpania — pachołek Berlinternu.

Przez długie dwa lata i pół zapewniała, sympatyzująca z gen. Franco, reakcja angielska i francuska, że poparcie, jakiego mu udzielają Włochy i Niemcy ma charakter jedynie ideologiczny, że gen. Franco jest osobiście jak najbardziej daleki od wszelkiego germanofilstwa, że jest zwolennikiem współpracy z mocarstwami zachodnimi, które mu, niestety, tę współpracę uniemożliwiają przez swe przyjazne dla Republiki stanowisko. W imię tej doktryny pozwolono na zaopatrywanie gen. Franco w broń włosko-niemiecką, pozbawiono, pod płaszczykiem sławetnej nie-interwencji, walczące wojska republikańskie wszelkich możliwości zaopatrzenia. W imię tej doktryny wygłodzono Katalonię, zorganizowano w Madrycie pucz kapitulancki, który złamał resztki oporu wojsk Republiki. W imię tej doktryny, krótko mówiąc, pozwolono na zdławienie Hiszpanii przez najazd włosko-niemiecki i zgodzono się nazwać ten fakt —

zwycięstwem generała Franco, uznanego przez mocarstwa jako de jure (z mocy prawa!), władcę Hiszpanii. Gen. Franco i jego włosko-niemieccy panowie nie omieszkali odwdzięczyć się za to reakcji mocarstw zachodnich.

Z chwilą, kiedy nie trzeba było już niczego uzyskać, kiedy flota hiszpańska, oddana przez republikanów Francji, już została oddana rebeliantom, kiedy znikły ostatnie ośrodki oporu na terenie Hiszpanii— maski zostały odrzucone. Gen Franco oficjalnie zgłosił przystąpienie do „paktu antykominternowskiego" — a wiadomo przecież o tym, że pakt ten skierowany jest przede wszystkim przeciw „komunizmowi" Francji i Wielkiej Brytanii, odmawiających mocarstwom „anty-komunistycznym" „przestrzeni życiowej", niezbędnej dla ratowania świata przed widmem bolszewizmu. Co więcej, ponoć już w najbliższym czasie gen. Franco ma zgłosić swe pierwsze „anty-komunistyczne" żądania: oddania mu Gibraltaru, należącego obecnie do Anglii i części francuskiego Marokka. Nic nie wiedzieliśmy dotąd o rozwoju komunizmu na skałach gibraltarskich. Dla bezpieczeństwa, by łatwiej było wytępić ten komunizm gibraltarski, wylądowały dwie nowe włoskie dywizje w Kadyksie i skierowały się odrazu pod Gibraltar. Nic dziwnego, że marszałek Pétain, wysłany do Burgos w nadziei, że uda się mu przeciwdziałać wpływom osi, powrócił do Paryża na dłuższy urlop odpoczynkowy.

Nic dziwnego też, że w kołach prawicy francuskiej, przynajmniej tej uczciwszej, panuje przygnębienie. Gdyby znali historię Polski, może pomyśleliby o słowie Targowica. Rola pewnych ludzi w całej tej aferze jest mocno podobna do roli Szczęsnego Potockiego.

Berlin pracuje i w Ameryce

Nawet w Ameryce Południowej zwolennicy gen. Franco znajdują się na służbie Berlina. W Meksyku ożywiła się ostatnio działalność „Falangi Hiszpańskiej", głoszącej zbliżenie do „narodowej" Hiszpanii. Przeprowadzono rewizję w jej siedzibie: u jej kierownika, niejakiego Ortegi, znaleziono obfitą korespondencję z przedstawicielami Trzeciej Rzeszy. Organizację, rzecz jasna, rozwiązano.

Analogiczne spiski knują naziści, do spółki z miejscowymi faszystami i zwolennikami gen. Franco, również i w Argentynie. Ogłoszono tam ostatnio dokumenty, stwierdzające, że Rzesza przygotowywała tam „akcję", mającą na celu wywołanie powstania faszystowskiego w prowincji Patagonii, pustej, mało zaludnionej, ale obfitującej w pokłady ropy naftowej, rud żelaza i cennej jako baza dla floty. Po udanym powstaniu nowa faszystowska Patagonia miała się oddać pod protektorat Trzeciej Rzeszy. W związku z tą sprawą aresztowano kilku czołowych działaczy hitlerowców argentyńskich i... kilku miejscowych, argentyńskich działaczy faszystowskich.

Wszędzie to samo: propaganda faszystowska toruje drogę Berlinowi.

Czy Chamberlain zje swój własny kapelusz?

Tymczasem reakcja mocarstw zachodnich na akcję osi nadal jest chwiejna i słaba. W ostatniej dekadzie wskazaliśmy, że trudno mieć pełne zaufanie do starych, zagorzałych monachijczyków, którzy nagle odkryli swój błąd, a mimo to kurczowo trzymają się władzy. Przebieg wypadków po napadzie na Albanię świadczy najlepiej, jak słuszne były te uwagi.

Cała polityka gabinetu brytyjskiego i francuskiego w ostatnich dniach sprowadza się do jednego: do rozpaczliwego odwlekania wszelkich wyraźnych, nieodwołalnych decyzji, do maskowania niby energicznymi, wojskowymi zarządzeniami (które później można z łatwością odwołać), braku jakiejkolwiek rzeczywistej kontrakcji.

Flota angielska i francuska zostały wprawdzie uruchomione. Ale nie obsadziły one ani Korfu, ani — tym bardziej! — Minorki. Układ włosko-angielski dotąd nie został wypowiedziany. Nie zostało nawet złożone oświadczenie o nie uznaniu zaboru Albanii. Gwarancje Chamberlaina dla Grecji i Rumunii, mocne w formie, były nader ubogie w realną treść. Nici do Rzymu nie zostały zerwane. Francja i Anglia „denerwują się", ruszają się, ale nie działają. W Londynie i Paryżu rozmawiają ambasodorzy, w Rzymie i Berlinie pracują sztaby.

Chamberlain nie chce przyznać,, że polityka jego zbankrutowała na ostatnim odcinku, którego bronił dotąd: na odcinku włoskim. Chwyta się kurczowo zapewnień Mussoliniego, jakby takimi samymi zapewnieniami nie był dotąd wybrukowany szlak od Teruelu aż do Tirany. Próbuje uzyskać jeszcze jeden okres próbny, tym razem do drugiego maja. Udaje, że nie wie, iż w istocie chodzi tylko o okres mobilizacyjny dla zjednoczonych sił włosko-niemieckich.

Przyczyny tego stanowiska są jasne: przyznanie się do błędu i na tym odcinku grozi już poważnie konserwatywno-monachijskiej pozycji w rządzie Wielkiej Brytanii. Przecież właśnie z zaufania do Mussoliniego Chamberlain nie tylko posłał „w duraki" swego ministra spraw zagranicznych Edena, ale wręcz oświadczył w parlamencie: „Zjem swój kapelusz, jeśli Mussolini mnie oszuka". Czy teraz nie przyszedł doprawdy czas, by, jeśli już nie zjeść kapelusz, to, przynajmniej, wziąć go ze sobą i pójść łowić pstrągi, pozostawiając politykę zagraniczną innym, którzy lepiej przewidzieli bieg wypadków?

Ale odejście Chamberlaina oznaczałoby ostateczne przekreślenie polityki porozumienia z dyktaturami, a tego chce ciągle jeszcze uniknąć klika monachijska.

Bałkany się niepokoją.

Możnaby jeszcze potraktować pobłażliwie złudzenia szanownego parasolnika, gdyby nie fakt, że tymczasem na Bałkanach dokonują się daleko idące zmiany. Atak włoski na Albanię i jego szybkie powodzenie dodało otuchy wszystkim zwolennikom osi na Bałkanach, a osłabiło pozycje zwolenników współpracy z Zachodem.

W Bułgarii podniosły głowę prądy berlinternowskie, dążące do wojny wspólnie z osią przeciw Jugosławii i Grecji. Stary faszysta Zankow, zbryzgany krwią wodza chłopów bułgarskich Stambolijskiego i tysięcy chłopów i robotników Bułgarii, rozwija gorączkową agitację. Na pięćdziesięciolecie kanclerza Hitlera udaje się do Berlina wielka delegacja faszystów bułgarskich, z udziałem kół wojskowych i rządowych. Prawdopodobnie będą tam rozmawiali nie tylko o toastach.

W Jugosławii, gdzie Cwetkowiczowi udało się właśnie doprowadzić do zasadniczego porozumienia z Chorwatami, oś będzie teraz żądała powrotu Stojadinowicza. W Słowenii podnosi głowę irredenta niemiecka, w Dalmacji — włoska. Glajchszaltung albo rozbiór, kto wie, czy nie Glajchszaltung i rozbiór — oto alternatywa, jaką, w podziękowaniu za poparcie, udzielone jej przez p. Stojadinowicza, ma zamiar oś przedstawić jego ojczyźnie.

Rumunia znajduje się też pod podwójnym obstrzałem: Bułgarii, występującej z roszczeniami do Dobrudży, i Węgier, roszczących pre-

tensje do Siedmiogrodu. Ponadto, w odróżnieniu od Jugosławii, gdzie Stojadinowicze mieli tylko znikome oparcie w narodzie, w Rumunii istnieje poważny, mimo wszystko, prąd berlinternowski, stworzony przez Codreanu, przyczyniający się też, ze swej strony, do otwarcia wrogowi granic kraju.

W tej sytuacji stanowisko Zachodu może mieć bardzo poważne znaczenie. Państwa bałkańskie są słabe. Nie oprą się one same naciskowi osi. Wahania Chamberlainów mogą oddać władzę w Bukareszcie, Belgradzie i Atenach reprezentantom Berlinternu, zwolennikom kapitulacji.

Na razie jednak opór trwa. Rozmowy rumuńsko-tureckie, przemówienie prezydenta Turcji, mobilizacja grecka i jugosłowiańska — są to wszystko zarządzenia wyraźnie anty-osiowe. Chodzi o to, by nie zabrakło im poparcia ze strony mocarstw.

Klęska Berlina w Belgii.

Szybkiej decyzji wymaga również sytuacja w mniejszych państwach Zachodu. Przez państwa te idzie w chwili obecnej prąd oporu przeciw naciskowi osi. Holandia zmobilizowała część swych sił zbrojnych, zabezpieczyła minami ujścia swych rzek. W Szwajcarii odbywa się gorączkowa reorganizacja armii, przygotowywanie jej do obrony kraju. Najpoważniejszą klęskę poniosła jednak Rzesza w Belgii.

Robota niemiecka w Belgii szła dwoma torami: przede wszystkim organizowano bezpośrednie agentury typu hitlerowców niemieckich w Eupen-Malmedy, skrawku ziemi o ludności niemieckiej, przyłączonym po wojnie do Belgii, nacjonalistów flamandzkich we Flandrii i rexistów Degrelle'a w walońskich częściach kraju. Po drugie przy pomocy gróźb i nacisków starano się stworzyć nastroje kapitulacji wobec Trzeciej Rzeszy w stronnictwach, nie nadających się do uzależnienia od Niemiec. „Neutralizm" belgijski, jakiemu uległa spora część katolików i socjalistów belgijskich (z b. premierem Spaakiem na czele) był wynikiem właśnie tej drugiej taktyki. Obie taktyki poniosły katastrofalną klęskę w ostatnich wyborach. Przegrała — w niemieckich kantonach!— wybory hitlerowska „Heimattreue Front". Stracił ponad trzy czwarte swych mandatów p. Degrelle, ukochany „Degrellak" naszej reakcji. Zaledwie utrzymali swe pozycje — mimo rozpętania namiętności nacjonalistycznych „sprawą Martensa"! — nacjonaliści flamandzcy. Wreszcie wewnątrz stronnictw, stojących na gruncie demokracji wzmocniło się najbardziej stronnictwo liberalne, które, choć reakcyjne społecznie, zajmuje w polityce zagranicznej pozycje wyraźnie antyniemieckie. Głosowało na nie sporo robotników socjalistycznych, zniechęconych dwuznaczną taktyką Spaaka . Słowem, społeczeństwo belgijskie wypowiedziało się jasno przeciw osi wojennej.

Wybory belgijskie stanowią charakterystyczny przejaw nastrojów, panujących na Zachodzie. Ale nastroje te mogą osłabnąć, jeśli nie znajdą one wyrazu w zdecydowanym stanowisku wielkich mocarstw, jeśli za słowami nie przyjdą czyny. Rzesza czeka tylko na taką chwilę słabości, by przejść do ataku. Problem polityki rządów — właśnie rządów! — brytyjskiego i francuskiego, ma tu decydujące znaczenie.

Totalistyczna Targowica na Litwie.

Gorączkowe wysiłki Berlina ku pozyskaniu nowych wasalów poniosły na razie klęskę na jednym, stosunkowo niewielkim, ale dla Polski szczególnie doniosłym odcinku: na Litwie.

Zabór Kłajpedy wywołał tam, jak wiadomo, powszechny nastrój oporu i przeciwstawienia się niebezpieczeństwu niemieckiemu. Zwłaszcza, że Trzecia Rzesza nie myślała bynajmniej o zadowoleniu się podbojem Kłajpedy i wyciąga już rękę po resztę terytorium litewskiego. Na razie chodzi „tylko" o sprawy gospodarcze: Rzesza żąda, by Litwa zrezygnowała ze swych rynków zbytu w Anglii. Szynki i masło litewskie przydadzą się Berlinowi. Pozycja strategiczna Litwy, flankująca Polskę od północy — także. Litwa jednak nie myśli poddać się biernie planom niemieckim. Przeciwnie — z inicjatywy Wodza Naczelnego gen. Rasztikisa doszło do rządu Zjednoczenia Narodowego — rzeczywistego zjednoczenia narodowego, obejmującego większość stronnictw, w tym dwa wielkie stronnictwa dotychczasowej opozycji: chrześcijańskich demokratów i ludowców. Rząd ten posiada oblicze wyraźnie antyniemieckie.

Taki rozwój wypadków nie mógł, rzecz jasna, odpowiadać Berlinowi. Rozpoczęła się więc odpowiednia kampania. Niewiadome ręce zaczęły rozrzucać ulotki przeciwrządowe, oskarżające rząd o zaprzedanie się Polsce, o ugodę z Żydami, o wysługiwanie się Moskwie. Jakieś dosyć ciemne osobistości zaczęły wzmacniać gwałtownie hecę anty-żydowską i anty-polską. Zdarzały się czasami wpadunki. Raz, przy ulotkach antypolskich, okazało się, że były one drukowane czcionkami nie posiadanymi przez żadną drukarnię litewską. Oczywiście — importowano je z zagranicy, z niedalekiej Tylży. Importowano z tej zagranicy i hasła, nawet agitatorów. Po wsiach litewskich rozbiegły się jakieś podejrzane typki, tłumaczące chłopu litewskiemu, że jedyną drogą do dobrobytu stanie się dlań traktat handlowy z Rzeszą, gotową do nabywania bez ograniczenia jego produktów.

To wszystko było jeszcze stosunkowo mniej groźne. Agitatorów germanofilskich chłop odstawiał do najbliższego posterunku policji. Prawdziwe niebezpieczeństwo pojawiło się gdzie indziej: w litewskiej monopartii, w obozie tautininków.

Litewscy entuzjaści totalizmu znaleźli się w trudnej sytuacji. Oto od lat zapewniali, że tylko oni niosą Litwie wielką przyszłość, że oni są tą odżywczą siłą, co spowoduje odrodzenie narodu litewskiego. Przynieśli — utratę Kłajpedy, śmiertelne niebezpieczeństwo dla całego kraju. Musieli pogodzić się z faktem, że w groźnej dla kraju chwili znienawidzone „partyjnictwo" pojawiło się znowu w rządzie. Dla ideologów totalizmu ukazywało się na widnokręgu bankructwo ideowe; jego, o wiele liczniejszych, pasożytów straszyło widmo utraty posad. Napróżno bronili się, napróżno wysuwali raz po raz swe monopartyjne pretensje, napróżno gromadzili przeszkody na drodze prawdziwego zjednoczenia — pod naciskiem faktów nieuchronnie kończyła się ich rola. Stawali się partią — jedną z wielu. Wtedy jądro tautininków postanowiło działać.

Z inicjatywy Berlina utworzony został spisek, mający na celu obalenie obecnego rządu, podporządkowanie się życzeniom Trzeciej Rzeszy—za cenę utrzymania monopartyjnej dyktatury na Litwie. Na czele spisku stał szef prasowy stronnictwa tautininków Jakszewiczius, który już po utworzeniu rządu zjednoczenia prowadził w swym piśmie (wydawanym za państwowe pieniądze) ostrą kampanię w obronie monopartyjnych pretensji swej partii, b. premier ks. Mironas, szef szaulisów (strzelców) litewskich, pułkownik Saladżuis, b. min. spraw zagranicznych Zaunius. W łonie stronnictwa,

które zawsze pełną gębę miało zjednoczenia narodowego, patriotyzmu, ofiarności dla ojczyzny, wśród jego czołowych figur zasiadła zdrada, chcąca wydać kraj wrogowi wzamian za uratowanie jej własnych, osobistych pozycji.

Zdrada została unieszkodliwiona. Ale warto zatrzymać się nieco dłużej nad litewskim wypadkiem, by raz jeszcze zobaczyć na żywym przykładzie, co częstokroć — bo to samo było przecież w Czechach i Słowacji! — kryje się za totalistyczno-monopartyjnym pseudo-patriotyzmem i totalistycznym pseudozjednoczeniem!

Społeczeństwa Zachodu rozstrzygną.

Punkt ciężkości sytuacji leży w tej chwili w społeczeństwach Zachodu. Jeśli potężny nacisk ze strony narodów, ze strony partii politycznych i zwykłych, szarych obywateli zmusi monachijczyków raz jeszcze — jak zmusił już w sprawie Polski — do odwrotu, jeśli mocarstwa Zachodu powiedzą energicznie i stanowczo „nie" — to przygotowania wojenne osi mogą być jeszcze teraz, w ostatniej chwili, zahamowane. Jeśli chamberlainiści będą odsuwać swe decyzje z terminu na termin, z godziny na godzinę, to przyjdzie chwila, kiedy Europie pozostanie tylko albo bić się, albo schylić kark pod jarzmo Berlinternu.

Trudno na razie określić natężenie nastrojów na Zachodzie. Gazety dochodzą ze zwykłym opóźnieniem, radio nie oddaje nastrojów społeczeństwa, telegramy prasy polskiej zbyt często odzwierciedlają raczej życzenia korespondenta, niż rzeczywisty stan rzeczy. Zaznaczmy, w każdym razie, że radio francuskie zmieniło ton. Mówi ono już wyraźnie o dwóch mocarstwach napastniczych, o odpowiedzialności za nadciągający konflikt, o zamiarach osi zglajchszaltowania całego świata. Jakże musi ściskać się serce p. Bonneta, kiedy słucha on wywodów własnego radia! Ale radio nie decyduje jeszcze o polityce rządów.

Można powiedzieć, że opinia Zachodu dochodzi już do zrozumienia rzeczywistości politycznej. Bo oto jakimi słowami zakończył swą mowę sprawozdawca polityczny na kongresie Związku Federalnego b. Kombatantów, organizacji bliskiej Daladierowi, do niedawna jeszcze wyraźnie monachijskiej: „Trzeba aby każdy wiedział dobrze: Hitler i Mussolini nie chcą niczego uzyskać w drodze pertraktacji. To ich wola, poparta przez ich siłę wojskową, ma stwarzać prawo niemieckie i włoskie. Przyszłość zależy od zarządzeń, jakie w najbliższym czasie wydadzą Anglia i Francja".

Polska musi stać w pogotowiu. Bo chociaż na chwilę burza odeszła od naszych własnych granic i przesunęła się nieco na Południe, to jednak pamiętać musimy, że w każdej chwili nawałnica powrócić może na Północ. Społeczeństwo Polski czuwać musi z karabinem u nogi.

Edward Herriot

Edward Herriot urodził się w 1872 r. w rodzinie oficerskiej. Odbywa studia literackie i filozoficzne w Ecole Normale i otrzymuje stanowisko profesora licealnego w Lyonie. Nic nie zapowiada w nim w owym okresie jednego z czołowych polityków współczesnej Francji. Zainteresowania jego obracały się dokoła literatury, filozofii i muzyki. Pisze pracę historyczno-filozoficzną „Filon żyd i szkoła aleksandryjska" i pozostaje pod wpływem Renana. Dopiero sprawa Dreyfusa pchnęła Herriota dotąd „teoretycznego republikanina" na drogę czynnego życia politycznego. W swych „Wspomnieniach polityka i męża stanu" przyznaje, że nawet zasądzenie Dreyfusa nie wpłynęło na nieko tak jak słynny list otwarty Zoli. Cytuje pamiętne słowa listu: „Jest zbrodnią wykorzystywać miłość ojczyzny dla spraw nienawiści, jest zbrodnią czynić z pobrzękiwania szablą boga ludzkości, gdy przecież cała nauka pracuje dla prawdy i sprawiedliwości, dla sprawy przyszłości". Herriot staje przy boku Jaurèsa i France'a w walce z reakcją. Mimo adoracji dla Jaurèsa nie przystępuje jednak do partii socjalistycznej, która pod przewodem Guesde'a i Lafargue'a staje wówczas na gruncie klasowych interesów proletariatu. W swej krytyce stosunków społecznych nie wychodzi Herriot poza postulat złagodzenia przeciwieństw klasowych przy pozostawieniu własności prywatnej. „Należy znieść proletariat przez stanowcze podniesienie jego położenia. Robotnik musi być wyzwolony, podobnie jak republika uwolniła już chłopów" (Wspomnienia). Herriot znajduje swą drogę do partii radykalnej.

Partia radykalna sama siebie uważa za spadkobierczynię tradycyj jakobińskich z 1793 r. Po upadku II Cesarstwa rozpoczął się jej wzrost. Osłabienie proletariatu po upadku Komuny, rozkwit przemysłowy Francji i jej przemiana w imperium kolonialne w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia spowodowały zbogacenie się burżuacji i wzrost zamożności średniego i drobnego mieszczaństwa, którego rentierska zapobiegliwość umożliwiła Paryżowi odegranie roli bankiera kontynentu. Nastąpił okres względnej równowagi społecznej. Podstawowym czynnikiem politycznym tej równowagi była partia radykalna, reprezentantka tych warstw, których wręcz interes materialny wymagał instytucyj demokratycznych, wolności, poszanowania praw jednostki jak i przeciwstawienia się trzem „podporom porządku": klerykalizmowi, dawnej arystokracji i współczesnym baronom finansów i przemysłu. Sprawa Dreyfusa była właśnie tą kartą, która umożliwiła radykałom odegranie się i utorowała im drogę do władzy w okresie powojennym.

Herriot staje się dziennikarzem i członkiem partii. Awansuje powoli. W 33 roku życia jest burmistrzem Lyonu i pozostaje nim dotąd. W 1912 r. wybrany zostaje do senatu, w 1915 r. zasiada w gabinecie Brianda jako minister robót publicznych. W 1919 r. wybrany przewodniczącym partii radykalnej, opuszcza senat i jako szef opozycji przeciw blokowi narodowemu wchodzi do Izby Deputowanych. Zwycięskie zakończenie wojny tak wzmacnia siłę polityczną wielkiego kapitału, że może on pozwolić sobie na rządy bez udziału radykałów. Lecz szybko następuje rozczarowanie warstw ludowych. Wojna nie tylko nie rozwiązała sprzeczności ustrojowych, ale je zaostrzyła. Już w 1924 r. lud francuski oddaje swe

głosy w wyborach kartelowi lewicy przeciwstawiając się polityce grabieży w interesie Komitetu Hut. Herriot otrzymuje misję utworzenia gabinetu. Następuje dwuletni okres premierostwa Herriota

Herriot, poparty przez socjalistów, zmierza w polityce zagranicznej do stabilizacji potęgi Francji. Liga Narodów i protokuł genewski mają gwarantować powersalski status quo w Europie. Niewielkie ustępstwa dla Niemiec oraz poparcie weimarskiego reżymu demokratycznego mają dodatkowo zapewnić Francji bezpieczeństwo. Jednak Wielka Brytania trwa przy zasadzie balance of power. Naskutek oporu Anglii upada protokuł genewski, a po nim i Herriot po przegranej w senacie. Prawica bierze górę i w latach 1926-7 Herriot uczestniczy w skoalizowanym gabinecie Poincare'go aż do kongresu radykałów w Angers, po którym następuje starcie partii radykałów i umiarkowanego centrum z prawicą. Gdy tradycyjne wahadło polityczne przynosi zwycięstwo w 1932 r. lewicy, staje Herriot ponownie na czele gabinetu. Jest to drugi rok światowego kryzysu gospodarczego. Lokarno leży w gruzach. W Niemczech Hitler sięga po władzę. Brüning odmawia płacenia reparacyj. Popiera go Anglia, która korzystając z odmowy Niemiec, usiłuje doprowadzić do skreślenia długów wojennych w USA. Sytuacja międzynarodowa Francji pogarsza się znacznie — w obliczu Niemiec Hindenburga i Schleichera ,którzy nie tylko żądają praw do uzbrojenia się, ale obchodząc traktaty zbroją się niemal jawnie. Herriot sądzi, że niezbędna jest kontynuacja polityki zamordowanego w Marsylii ministra Barthou, zmierzająca do wzmocnienia sojuszów w Europie środkowej i wzięcia kursu na sojusz z Sowietami. Już po upadku swego gabinetu staje się Herriot czołowym zwolennikiem tego sojuszu i w parlamencie walczy o jego ratyfikację a przeciw utopijnej lavalowskiej polityce odciągania Mussoliniego od Hitlera.

Gdy wypadki lutowe 1934 r. zagrażają Francji dyktaturą reakcji, jest Herriot, dotychczasowy wódz kartelu lewicy z 1926 i 1932, jednym z inspiratorów frontu ludowego. Ale jego rola polityczna maleje w międzyczasie. W partii radykalnej wypiera go jego uczeń gimnazjalny i polityczny Daladier, który, wybrany przewodniczącym partii, usuwa Herriota w cień. Punkt ciężkości przenosi się do socjalistów. Leon Blum staje na czele rządu frontu ludowego.

Gdy pod naciskiem Anglii i finansjery francuskiej radykali wraz z Daladierem przechodzą od polityki frontu ludowego do współpracy z prawicą, umiarkowany Herriot staje mocno w obronie sojuszu radykalnego mieszczaństwa z robotnikami. Na kongresie marsylskim powiedział:

> „Wolność. Całym żarem serca starego demokraty pytam was, czy zamierzacie ją porzucić? Czy zamierzacie wyrzec się opartych na niej podstaw władzy?
>
> Macie walczyć o wolność myśli, o wolność prasy i o wolność w ogóle.
>
> Niesamowity paradoks zrządził ,że my, demokraci, republikanie, radykałowie, mamy dzisiaj bronić wolności religii, bronić prawa pozostawania żydem lub chrześcijaninem. Powołani jesteśmy dziś do tego, aby w imię tych praw wyjść na ulicę. My — antyklerykali. Obowiązkiem wszystkich Francuzów jest bronić Francji, ale naszym obowiązkiem ponadto jest bronić ideałów demokracji".
>
> „Zważcie to, co chcę wam powiedzieć,— mamy ratować Francję wspólnym wysiłkiem odwagi i pracy. Wystrzegajmy się więc tego, aby rzucać klątwy na któregokolwiek Francuza, gdyż dzieło odbudowy Francji winno być wspólnym dążeniem wszystkich Francuzów. Bez klasy robotniczej nie możemy pracować dla dobra Francji, a jeśli nie spełnimy naszej roli stworzenia jedności robotników i klas średnich, nasza partia straci rację bytu. Czy nie uprzytamniacie sobie, jaką wagę mają przykłady republiki: Austriackiej, Czechosłowackiej, Hiszpańskiej i Chińskiej? Ileż mamy mieć jeszcze nowych przykładów, abyście zaczęli to rozumieć"?

Herriot pozostaje od 1936 r. przewodniczącym izby deputowanych i był ostatnio lansowany na prezydenta republiki. Odmówił jednak przyjęcia kandydatury mając widocznie ambicje odegrania czynnej roli politycznej w partii i państwie.

Pierwszorzędny pisarz, autor „Żywota Bethovena", „Żywota pani Recamier", najlepszy mówca parlamentu francuskiego, jest równocześnie Herriot uosobieniem sprzeczności swej warstwy — drobnego i średniego burżua francuskiego — konserwatywnego, kiedy chodzi o jego interes materialny a zgoła socjalizującego, gdy apelują do jego poczucia swobód republikańskich.

IGNACY WOLSKI

Z DNIA NA DZIEŃ

„INTERES" POLSKI

„W istocie interes polski wymagał zwycięstwa nacjonalistów. Gdyby wygrali republikanie, Hiszpania stałaby się narzędziem albo wprost Rosji jako republika sowiecka, albo przynajmniej międzynarodówki wolnomularskiej, która nam stara się uniemożliwić rozwiązanie kwestii żydowskiej. Szerzono sugestię, której ulegało i wielu narodowców, że Hiszpania nacjonalistyczna będzie narzędziem polityki Niemiec jako silniejszego partnera osi totalistycznej. Zwycięstwo Franco przekreśliło te ponure przepowiednie, którym ulegać mogli tylko ludzie nie zdający sobie sprawy czym jest naród. Franco jeszcze ma w kraju legiony włoskie a już zaczyna grać między Włochami a Anglią. Od jednych przyjął pomoc wojskową, od drugich przyjmie finansową... Hiszpania nacjonalistyczna nie przełoży wdzięczności dla dotychczasowych sojuszników nad własny interes narodowy. Będzie grała tę rolę, jaką jej dyktuje położenie geograficzne i układ sił politycznych. **Będzie robiła to samo, co w tej chwili robi Polska, tylko w dużo dogodniejszej pozycji, nie zaangażuje się ani po stronie niemiecko-włoskiej ani francusko-angielskiej. To właśnie leży w interesie Polski".**

Tako rzecze p. Wojciech Wasiutyński w redagowanym przez siebie miesięczniku oenerowskim „Wielka Polska". A dnia 7 kwietnia czytaliśmy w prasie codziennej: „W ostatnich dniach nastąpiło zupełnie wyraźne i gwałtowne pogorszenie się

stosunków francusko-hiszpańskich. Wśród otoczenia gen. Franco zaczynają przeważać coraz to bardziej wpływy niemieckie, wypowiadające się oczywiście przeciw zbliżeniu do Francji".

Fakty są powszechnie znane. Z chwilą, gdy tylko Franco zajął Madryt i resztę Hiszpanii, oddaną mu bez walki przez inspirowanych z Londynu i Paryża kapitulantów, Targowica hiszpańska jawnie i oficjalnie włączyła się w oś faszystowską, stała się strategiczną i polityczną placówką Berlina. Głaskany przez Chamberlaina i Bonneta, wielbiony przez naszych nacjonalistów „rząd" Franco przystąpił do t. zw. paktu antykominternowskiego, który — jak pisał w „Głosie Narodu" ksiądz Piwowarczyk — „Polska słusznie uważa za narzędzie imperializmu niemieckiego". Z rozkazu Goeringa wojska włoskie lądowały znowu w Kadyksie, chociaż czerwone niebezpieczeństwo ponoć już zlikwidowane. Sędziwy marszałek Pétain, ambasador z nieprawdziwego zdarzenia, skompromitowany i spostponowany przez berlińskich jurgieltników, zasiadających w hiszpańskim rządzie „narodowym", wyjechał do Francji, by więcej nie wrócić.

(To zelżenie honoru i prestiżu francuskiego przez ciemne indywidua, słuchające berlińskich rozkazów, historia zapisze jako jeszcze jedną pozycję na koncie patriotycznej działalności pp. Daladiera i Bonneta).

W Hiszpanii „narodowej" prym wiedzie w tej chwili berlinternowska „Falanga" z swym wodzem, p. Serrano Suner — godnym kolegą różnych Murgaszów i Durczańskich.

MĄDROŚĆ NACJONALISTY POLSKIEGO.

Kto teraz zechce porównać ten stan faktyczny z przytoczonymi wyżej wywodami p. Wasiutyńskiego, ten dopiero będzie mógł w całej pełni ocenić przenikliwość polityczną polskiego faszysty! Przecież p. Wasiutyński po prostu stawia Hiszpanię „narodową" za wzór Polsce. Zaznacza nawet, że reżim gen. Franco jest w lepszej sytuacji, niż my. Jaka szkoda! W każdym razie — cieszmy się, bo — jak nas p. Wasiutyński zapewnia — obecny stan rzeczy na półwyspie pirenejskim leży w interesie Polski! Bo proszę: oś, narzędzie niemieckiego imperializmu, zdobyła jeszcze jedną ważną pozycję; w razie wojny flota brytyjska ma zagrodzony wjazd na Morze Śródziemne, Francja może być zaatakowana od południa, obsadzone przez Włochy wyspy balearskie przecinają jej komunikację z północną Afryką. Oto prawdziwy powód do radości dla każdego dobrego Polaka. Pan gen. Franco zasłużył się sprawie polskiej. Winniśmy mu wdzięczność (Bratnia Pomoc Politechniki lwowskiej rzeczywiście wysłała do wodza „narodowej" Hiszpanii depeszę hołdowniczą). I winniśmy wdzięczność panu Wasiutyńskiemu, że w tych trudnych czasach ukazał nam optymistyczne perspektywy, obrócił nasze nadzieje na Burgos — romańską Bratysławę.

Żart na bok. To wszystko jest przecież bardzo smutne. Przecież p. Wasiutyński to nie pierwszy lepszy szturmowiec uliczny, tłukący szyby w sklepach żydowskich, wyrzucający z okna drugiego piętra studentki Żydówki. P. Wasiutyński to ideolog, polityk i teoretyk, p. Wasiutyński, to człowiek, który powinien rozumieć sens zjawisk. P. Wasiutyński to jeden z czołowych publicystów obozu, który rości sobie pretensje do rządu dusz młodego pokolenia polskiego. P. Wasiutyński wreszcie — to polski nacjonalista, pouczający wszystkich o polskiej racji stanu, o polskim interesie narodowym.

PRZEZ FASZYSTOWSKIE OKULARY

Czym więc wytłumaczyć to niesamowite wprost zjawisko, gdy redaktor „Wielkiej (!) Polski" każe Polakom radować się z sukcesów osi, oklaskiwać berlińskie triumfy? Młody wiek (giovinezza, giovinezza) pana Wasiutyńskiego na prawdę nie wiele tu usprawiedliwia. Większość młodzieży polskiej, nawet tej „narodowej", dziś już coraz lepiej zdaje sobie sprawę z tego, kto jest naszym przyjacielem a kto wrogiem. W tej ogromnej większości znajduje się cała młodzież robotnicza i chłopska, której los nie pozwolił na zdobycie wyższego wykształcenia i wysokiej erudycji politycznej, jak panu Wasiutyńskiemu. Wystarczy zaś pójść do pierwszego lepszego kina w stolicy, żeby przekonać się, jaką sympatią masa „szarych" ludzi darzy dziś wodzów osi i ich „narodowych" wasalów — chociażby w Pradze. Gwizdy, wrogie okrzyki i tupania witają każde pojawienie się na ekranie nie tylko jakiegoś Hachy, ale nawet czołowych osobistości Trzeciej Rzeszy i faszystowskiej Italii.

Ale p. Wasiutyński nie ulega nastrojom tłumu. On w dalszym ciągu wierzy w oś i krzewi tę wiarę wśród swych zwolenników. W dalszym ciągu obwieszcza każdy sukces i każdy triumf polityki berlińskiej jako sukces idei narodowej — **polskiej** idei narodowej! Bo p. Wasiutyński patrzy na rzeczywistość polityczną przez faszystowskie okulary. To też, niezależnie nawet od swych intencyj, wbrew faktom i wbrew logice, z podziwu godną stałością forsuje taką linię polityczną, która — jak już każdemu w Polsce wiadomo, jest linią obcych, pangermańskich interesów zaborczych i wojennych. Sytuacja międzynarodowa ukształtowała się (nie przypadkowo) w ten sposób, że między narodowym i państwowym interesem naszej Rzeczypospolitej, a dążeniami międzynarodowego faszyzmu istnieje niepokonalne przeciwieństwo, które nie da się zagadać żadną, choćby najbardziej polską terminologicznie, argumentacją „narodową". To co nasi faszyści nazywają ideologią „narodową", nie jest bowiem niczym innym, niż ideologią kierowanej przez Berlin międzynarodowej krucjaty pangermanizmu przeciw wolnym narodom. Tak jest w Hiszpanii i w Rumunii, w Belgii i na Węgrzech, na Słowaczyźnie i w Holandii, w Meksyku i w Sjamie. Nacjonalista polski, najbardziej nawet prawicowy i reakcyjny, jeżeli nie oślepł jeszcze na oba oczy — zrozumie rzeczywisty sens faszystowskiej ideologii. Jeżeli jednak nie jest już zdolny do zrozumienia najistotniejszych interesów własnego narodu, to wypadek trzeba uznać za beznadziejny. Dyskusja z takim nieszczęśliwym jest już bezcelowa. Należy tylko ukazać go opinii publicznej jako przerażający przykład dewiacji myślowej, spowodowanej przez faszystowskie zaślepienie. Trzeba pokazać, jak człowiek inteligentny i nie należący bynajmniej

Przez wiek cały los Polski związany był z losem wolności europejskiej. Dziś z niepodległością Polski wiążą się losy Europy.

do typów w rodzaju Murgasza czy Durczańskiego, zatruty przez faszyzm traci wszelkie poczucie rzeczywistości, traci zdolność rozumienia najprostszych prawd, jak mimo woli zaczyna mówić językiem obcych i wrogich Polsce interesów.

Tylko z tego punktu widzenia celowe jest zajmowanie się na tych łamach osobą i twórczością p. Wasiutyńskiego. Na żywym przykładzie tego, zdolnego i wykształconego, młodego nacjonalisty polskiego łatwiej może będzie ukazać straszliwe spustoszenia, wyrządzone przez faszyzm w szeregach pewnego odłamu młodej inteligencji polskiej.

Bo entuzjazm p. Wasiutyńskiego dla hiszpańskiej Targowicy nie jest zjawiskiem przypadkowym, jak nie były przypadkowe jego zachwyty dla czeskich faszystów z pod znaku „Vlajki“ i pana Gajdy czy dla słowackich hitlerowców z „młodo“ hlinkowego odłamu Durczanskich, Murgaszów, Sidorów i Machów.

ZWYCIĘSTWO BĘDZIE KLĘSKĄ!

W tym samym bowiem artykule, którego tak celne urywki przytoczyliśmy na wstępie, rozważa p. Wasiutyński ewentualność konfliktu polsko - niemieckiego. Sprawa łączy się (widzi to nawet p. Wasiutyński) z ewentualnym starciem Niemiec z Sowietami wzgl. z mocarstwami Zachodu. W każdym wypadku (przyznaje nasz nacjonalista) zwycięstwo Niemiec byłoby ze stanowiska polskiego niedopuszczalne. Wzrost potęgi niemieckiej — zarówno kosztem Sowietów jak kosztem Francji czy Anglii — byłby dla nas jednakowo niebezpieczny. Chociaż, uspakaja nas p. Wasiutyński, może nie byłoby jednak tak źle, bo zanim Trzecia Rzesza miałaby czas przeciw nam wystąpić, już by się utworzyła przeciw niej nowa koalicja! To znaczy: groza zwycięstwa niemieckiego, jakkolwiek ogromna, nie jest mimo wszystko tak bardzo realna. Zanotujmy to dla zestawienia z dalszymi wywodami autora.

Ewentualność druga: klęska Niemiec po wojnie z Francją i Anglią. Polska mogłaby wtedy otrzymać Prusy Wschodnie (jak wiadomo, nikt w Polsce nie myśli o zaborach kosztem Niemiec, ale nie o to idzie nam teraz) — czyli nowych kilka milionów mniejszości niemieckiej. Rzecz kłopotliwa. Nie to jest jednak najgorsze. Klęska Niemiec kryje dla Polski niebezpieczeństwo znacznie groźniejsze, po prostu przerażające. Posłuchajmyż pana Wasiutyńskiego:

„Gorzej, że zwycięstwo państw zachodnich byłoby zwycięstwem Żydów i masonerii, łączyłoby się prawdopodobnie z przewrotem bardzo lewicowym w Niemczech. Jakby w tej sytuacji Polska wyglądała?“

Najpierw — stwierdza pan Wasiutyński — trzeba z Polski wyrzucić wszystkich Żydów, a potym będzie można dopiero bronić się przed niemieckim naporem:

„Gdy (Polska) przestanie być bazą narodową żydostwa, będzie mogła pozwolić sobie na rozgrywkę z Niemcami, na wzmacnianie państw ulegających wpływom żydowskim. Dopóki Żydzi siedzą masowo w Polsce i interes narodowy nakazuje im chronić w niej swój rezerwat za wszelką cenę, dopóty **zwycięstwo nad Niemcami grozić nam zawsze będzie klęską.** Klęską utraty istotnej niezawisłości w razie wzmocnienia zbytniego protektorów czy protegowanych żydostwa światowego“.

JAK ZWYCIĘŻYĆ TRZECIĄ RZESZĘ?

Wnioski? Polska dzisiejsza w ogóle nie może bronić się przed agresją niemiecką. Gorzej, klęska Niemiec byłaby dziś straszliwą klęską Polski. Żeby oprzeć się naporowi hitlerowskiego imperializmu, Polska sama musi wpierw ulec całkowitej hitleryzacji, której wstępnym etapem jest, jak z sąsiednich doświadczeń wiadomo, gruntowne odżydzenie kraju. Realizacja programu antysemickiego jest najskuteczniejszym środkiem wzmożenia odporności naszego państwa przed hitlerowskim naporem. Przykłady są pod ręką. Słowacja dopiero po totalnej hitleryzacji całego życia publicznego, po gruntownym zlikwidowaniu wpływów żydowskich zdobyła niepodległość, ba! gwarancję tej niepodległości ze strony Trzeciej Rzeszy i nawet opiekę Hitlera! Czechy zdołały uzyskać protektorat niemiecki dopiero wtedy, gdy zlikwidowały demokrację i zniweczyły wpływy masońsko-żydowskie. Przecież groził im prosty zabór niemiecki i tylko triumf czeskiego nacjonalizmu i antysemityzmu dokonał tego cudu, że mimo niemieckiej okupacji mógł w Pradze powstać bajrat złożony z czeskich „narodowców“, Hachy, Hrubego i spółki. W tej chwili Węgry gotują się właśnie do wzmożenia swej siły obronnej przed niemieckim naporem. W błyskawicznym tempie reżim tamtejszy przeprowadza hitleryzację kraju, legalizuje rozwiązaną nie dawno partię hitlerowską, wprowadza ustawy przeciwżydowskie i t. d. W ten sposób Węgry zdołają się zapewne uratować przed zaborem niemieckim i być może uzyskają nawet opiekę rządu berlińskiego i gwarancję niepodległości z jego strony. Już dziś widzimy, że niemieckie ośrodki dyspozycyjne ofiarnie pomagają nacjonalistom węgierskim w patriotycznym dziele „unaradawiania“ Węgier. Widzimy, że i w Czechach i na Słowaczyźnie tamtejsi narodowcy i antysemici zostali przez Berlin potraktowani jako samodzielne czynniki polityczne; zarówno protektorat czeski jak słowacka opieka zostały ustanowione w dobrowolnych rokowaniach na zasadzie „równi z równymi“. Dopiero na prośbę Hachy i Tiso Hitler zajął się losem tych dwu słowiańskich narodów. Jest to niewątpliwie zasługą czeskiego i słowackiego nacjonalizmu, który odżydzając energicznie swój kraj, wytrącił po prostu broń z ręki Hitlera. Najbliższa przyszłość wykaże, czy i Węgrom uda się tak szczęśliwie i bezkrwawo uniknąć podboju niemieckiego i podzielić los Czechów i Słowaków.

Jeżeli wierzyć panu Wasiutyńskiemu, z Polską jest pod tym względem niestety bardzo źle. Nie możemy się wcale bronić przed ewentualną agresją niemiecką, bo gotowiśmy jeszcze... zwyciężyć. A nie wolno nam zwyciężyć, jak długo mamy w kraju Żydów. Zwycięstwo nad Niemcami byłoby dziś największą klęską narodu polskiego.

Strzeż nas, Panie Boże, przed zwycięstwem nad Niemcami! — wzdycha pan Wasiutyński.

Strzeż Panie Boże, Polskę przed **takim** nacjonalizmem!

O prawdę mojej książki

A. Niemojewski napisał:

„Polski pan przysięgał na Ewangelię, ale nigdy nie interesował się jej treścią“.

Takie same wrażenie odniosłem po przeczytaniu w „Epoce“ z d. 15.III. r. b. recenzji p. Józefa Czermińskiego o „Rodzinie Mianowskich“. Bo gdy mój szanowny krytyk nie szczędzi mi rad, iż poleniłem się wystudiować socjologię — złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma — mnie akurat wydaje się odwrotnie, że te braki ujawnił p. Czermiński u siebie.

Ale może niech lepiej rozstrzygną spór dwaj krańcowi przedstawiciele kultury umysłowej. A mianowicie: Pan Włodzimierz Pietrzak („Prosto z Mostu“, dn. 11.IX.1938 r.) i właśnie p. Józef Czermiński.

Otóż jeśli chodzi o całość powieści, p. Włodzimierz Pietrzak pisze:

„Dwutomowa powieść Kowalskiego jest właśnie książką odważną, poruszającą jeden z kapitalnych problemów współczesnych. Szkic stosunków między dworem, a wsią zajmujący w powieści sporo miejsca, schodzi na plan dalszy wobec interesującej analizy lat wojennych, a szczególnie naszego życia politycznego w pierwszym okresie po zakończeniu wojny bolszewickiej“.

Natomiast u p. Czermińskiego:

„Nieprawdziwy i nierealny jest więc cały obraz rzeczywistości polskiej z pierwszych lat niepodległości, zawarty w „Rodzinie Mianowskich“.

U Włodzimierza Pietrzaka:

„Tezą w tym przypadku jest niezdolność wewnętrzna przedstawicieli warstwy inteligencko - ziemiańskiej do zrozumienia istotnych potrzeb chłopa oraz do walki o lepszy byt chłopski. Z powieści Kowalskiego przeziera stanowisko, że chłop sam we własne ręce uchwycić musi ster walki klasowej o swoje interesy. Inteligencja nie jest w stanie go zrozumieć. Mianowski w roli leadera Stronnictwa Ludowego zaspakaja osobistą ambicję i realizuje osobiste urojenia“.

„Czesław Mianowski, który próbuje zbliżenia do chłopów, pod koniec powieści sam widzi bankructwo swego wysiłku“.

„W walce z własnym otoczeniem Czesław — idealista przegrywa, jak później przegra cały swój wysiłek życiowy“.

U Józefa Czermińskiego:

„Rodzina Mianowskich“, jest z punktu widzenia artystycznego nierealistyczna, a z punktu widzenia społecznego — obiektywnie reakcyjna, a więc również „nierealistyczna“.

„Działacze polityczni chłopskiego pochodzenia gubią się szybko w labiryncie politycznym — uczciwi są poprostu za głupi, aby mogli coś zdziałać samodzielnie, bez pomocy inteligenckich leaderów, mniej ideowi zabierają się, nie mniej poprostu, do robienia prywatnych interesów. Inteligenci poruszają się na arenie politycznej z zupełną swobodą, a że są to ludzie ideowi, oddani sprawie, pełni nie tylko dobrej woli, ale wprost poświęcenia, przeto „mogliby oni dużo uczynić dla tego kraju, i chłopa“. Mogliby, gdyby nie to, że są obciążeni nałogami szlacheckiego sposobu myślenia i wskutek tego nie są zdolni zrozumieć, czego chłopu naprawdę potrzeba“.

U Pietrzaka:

„Materialistą w ujęciu marksistowskim jest Kowalski przez absolutną negację możliwości porozumienia i zrozumienia między światem chłopskim, a warstwą inteligencko-szlachecką. Negacja ta płynie z wiary w żelazny podział na klasy. Przedziały klasowe są w tym ujęciu nie do przebycia“.

U Czermińskiego:

„Nie szczędząc słów krytyki i zjadliwej ironii „głupim pankom“ — Kowalski traktuje ich jednak w gruncie rzeczy z głęboką sympatią i życzliwością. Udziela im rad i wskazówek, uczy ich rozumieć chłopa. Nie rozumie on bowiem istotnej roli społecznej Czesławów Mianowskich — pseudo-radykalnych „przyjaciół“ chłopa, działających **świadomie,** a nie z „głupoty“ w interesie sił wrogich chłopu“.

I wreszcie:

Gdy u Pietrzaka: „Sprawa dwór — wieś jest u Kowalskiego przeprowadzona subtelnie i środkami artystycznemi, tendencja chowa się jak ostryga w muszli“. U Czermińskiego teza jest prosta: „Uczy ich (wrogów chłopa) rozumieć chłopa“.

Tak oto wygląda książka w ocenie dwóch dalekich sobie ideowo krytyków.

Wydaje mi się, że moje uwagi co do postawionych mi przez p. Czermińskiego zarzutów socjalnych są tu zbyteczne. Jeśli natomiast wolno mi zająć stanowisko doradcy wobec czytelnika, uważam za najbardziej wskazaną radę nie przejmowanie się żadną z przytoczonych krytyk, lecz szukanie własnych rozwiązań i wrażeń. Pietrzak bowiem również nie ustrzegł się pewnego mentorstwa, które nie odpowiada istocie rzeczy w powieści. I gdy pod koniec swojej recenzji wskazuje szereg osób pochodzenia szlacheckiego, jako teoretyków ruchu robotniczego, czyni to zbytecznie, gdyż nigdzie tego nie kwestionowałem. Co więcej, wiadomym mi jest, że szlachcic francuski Balzac i polski Prus, a jeszcze wcześniej Rey z Nagłowic daleko lepiej poznali psychologię chłopów, aniżeli pisarze polscy chłopskiego pochodzenia, którzy pisują egzotyczne sztuczydła dla ubawienia mieszczańskiej publiki. Ale skoro padło tu nazwisko p. Pietrzaka, niech mi wolno będzie wyrazić mu moje głębokie uznanie za rzetelny wysiłek analityczny, za cenne uwagi zarówno dodatnie jak i krytyczne przy ocenie „Rodziny Mianowskich“. Czego ani nawet nie próbował dokonać p. Czermiński.

Nie przytaczam innych głosów. Lecz może warto nadmienić, że ziemianie gotowi byli mi wybaczyć (obiecali to) ściągnięcie ich w dół kultury i bezideowości w I tomie, o ile poprawię się w II tomie. Ponieważ okazałem się niepoprawny, uważali za stosowne przemilczeć wszystko. (Jest to jedna z czysto polskich metod walki z książką, która wybiega ponad frazeologiczną gloryfikację)! Jeżeli podobne stanowisko przytrafia się krytykowi, czytelnik znajduje się w potrzasku, pozbawiony prawa do czytania.

P. Julia Pelcling pisała o roli krytyków w „Robotniku“ z dn. 19.III. r. b.

„Olbrzymia odpowiedzialność wobec sztuki i kultury nakłada na krytyka obowiązek nieustannej czujności, najdalej posuniętego obiektywizmu wobec nowych zjawisk w sztuce, a przede wszystkim sza-

cunku dla wszystkich rzetelnych, chociażby nawet niedoskonałych wysiłków artystycznych.

Twórcza rola krytyki polega bowiem, nie na „krytykowaniu", ale na umiejętności odkrywania w dziele sztuki wartości trwałych".

Pan Czermiński obrał właśnie linię krytykowania. Nie tylko nie przejął się swoją odpowiedzialnością, nie zżył się — jeśli się tak wolno wyrazić — z autorem, lecz przeciwnie, zapretendował do napisania powieści w imieniu autora. I tego właśnie u mnie szukał, co chciałby sam powiedzieć czytelnikowi swoimi, a bardziej prostymi słowami. Nie znalazłszy prostych oskarżeń, nie umiał dostrzec monotonii polskiego dworu, który przecież w pewnej części opinii miał stanowić ostoję polskości w okresie zaborów. A potem już nie doszukał się ani podniesienia się nastrojów mas po wojnie, ani narastających konfliktów. I nie zrozumiał symbolicznej postaci Kukawki, który sztucznie zamyka niedokończony od 12-go rozdziału II tom powieści.

Ale bo pan Czermiński szukał jedynie tego, co zamyka w zdaniu oskarżycielskim: Czesław, to „**świadomy** (podkreślenie p. Czermińskiego) wróg chłopów, którego Kowalski poucza, jak okłamywać chłopów".

Otóż muszę przede wszystkim oświadczyć, że nie jestem zdolny zrozumieć, dla czego to z tych samych słów nie miałby się uczyć i przyjaciel chłopa? Cóż to za formuła? Czy może autor powinien uczyć Czesława po przez ćwiczenie lewego inteligenta i to byłoby zrozumiałe? A może lewym inteligentom wystarczy uczuciowe stanie po stronie ludu?

Wiedza socjologiczna p. Czermińskiego wydaje mi się całkowicie wątpliwa w jego ocenie, gdzie dominuje nie badawczość, lecz doktrynerstwo. Wolno zajmować i takie stanowisko. Ale nie pisarzowi i nie krytykowi literackiemu. Jako socjolog, od razu wpada p. Czermiński w sprzeczność ze sobą, gdy uwypukla mi posługiwanie się nieufnością chłopską. Pomijając to, że zapomina tu o Balzacowskim Fourchonie, Musze, Tonsardzie, Karolu, o Ślimaku Prusa itp. — zarzut ten niezgodny jest z klasowym podejściem do mas, które nie mają zaufania do bogaczy. Popełniwszy ten, (właśnie socjalny) błąd, nie dostrzega p. Czermiński ostrożności i oporu chłopów właśnie wobec Czesława i nie dostrzega później tego, że Czesław przegrywa z chłopami.

Gdzież się w takim razie mój szanowny krytyk znajduje?

Otóż znajduje się w lewicowym sielankopisarstwie, gdzie zamiast pokornego chłopa prawicowego, zajmuje miejsce plakat nędzy, bezpośredniej krzywdy i krzyk rozpaczy. Słowem w literaturze, dla której chyba dość autorytatywnym oskarżycielem mógłby być p. Włodzimierz Pietrzak, a który pisze o niej, że: „W Polsce wystąpiła w nieszkodliwej formie t. zw. literatury proletariackiej, w formie płytkich i wrzeszczących utworów" („Prosto z Mostu" z dn. 11.IX.1938 r.).

Jest to odmienna potrzeba zaspakajania lewo-mieszczańskich wrażeń.

Ale chyba nikt nie dał groźniejszego obrazu nędzy, niż St. Żeromski w „Słowie o bandosie" i doli chłopa, który kradnie drzewo na trumnę. I nikt lepiej od niego nie zrozumiał, że to nie o to chodzi, gdy wołał pod adresem literatów o książkę „dla Walczaka". O książkę nie na miarę ubóstwa, lecz na miarę tragedii i dla tego Żeromski wskazuje na Szekspira, Cervantesa, Dantego itd. Bo Walczak nie może być tylko bezduszną istotą, którą przejmowałaby się życzliwa inteligencja, która siebie i chłopów tą plakatowizną zakłamała. To samo zakłamanie popełnia p. Czesław (właśnie nie świadomie) — czego p. Czermiński nie dostrzegł.

Można na to odpowiedzieć, że to zrozumienie chłopa przez inteligencję, chłopu niepotrzebne. Można i tak. Teza ta przebija u p. Czermińskiego w trosce o uczenie wrogów. Ale ta teza chyba nie odpowiada rozsądkowi, społecznie jest fałszywa, znów nie socjologiczna. Chyba raczej zbliżona do oportunistycznej łatwizny, tak znanej u inteligencji w sprawach, które jej są bliskie uczuciowo, a dalekie ze znajomości. A przecież Walczak musi żyć. Walczaka nie wolno uśmiercać plakatem nędzy i buntarskim frazesem. To musi wyrastać z niego. Ale to jest życie, życie obce, nieznane — więc razi. A brak chęci do analizy obcego życia pozwala na grymas: Chłop jest głupi, a Czesław świadomy wróg chłopów.

I właśnie jeśli chodzi o Czesława, znów zaszliśmy daleko poza badanie socjologiczne.

Ktoś trafnie nazwał I tom „Rodziny Mianowskich," „Prowincją zapomnianą przez Boga". Otóż na tej prowincji, akurat w tej wsi, zjawia się pierwszy Czesław Mianowski. I co na to poradzić?

Nie dobrze się p. Czermiński przyjrzał Czesławowi, skoro twierdzi, że on już wtedy miał wrogie zamiary, gdy ze dworu, jako student, wychodził na wieś, by pociągać chłopów do walki o niepodległość. Idąc po tej linii rozumowania, musimy dojść do wniosku, że św. pamięci ofiarodawczyni Gołotczyzny i Bratnego, Bąkowska, właśnie osoba z tego typu ludzi, oddając folwark na szkołę dla synów i córek chłopskich, których uczyli Czesławowie, tak bardzo ukochała swoją warstwę ziemiańską, że skazała siebie na ubogie życie, byle mącić w głowach chłopom. Albo niedawny wypadek, gdy wojskowi pojechali na skomasowaną wieś założyć koło strzeleckie i zrezygnowali ze swego zamiaru wobec trudności zwołania ludzi. Tu mielibyśmy znów klasyczny przykład wyrzekania się obrony państwa przez wrogie chłopu elementy, które oddziaływują na Czesławów właśnie głównie prących do komasacji.

Tak się to prosto wszystko nie dzieje i tak w życiu nie jest. Zadaniem pisarza nie może być zaciemnianie historii i faktów, lecz ich ujawnianie. A na „pouczaniu" Czesława wolno się uczyć każdemu, kto się uczyć zechce.

Czy w Polsce grunt do nauki nie jest podatny? Czy poprostu ludzie się uczyć nie chcą?

Wydaje mi się, że na pierwsze pytanie daje wyczerpującą odpowiedź W. Rzymowski w artykule „Złośliwe bankructwo" w „Czarno na białym" z dn. 19.III. r. b. A na drugie Paweł Hulka-Laskowski w „Robotniku" z dn. 21.III. r. b. pt. „Lenistwo duchowe".

Przyznać się muszę, że ja nie mogę się również pogodzić z tym stanem rzeczy. Toć świadomie nie dokończyłem II-go tomu „Rodziny Mianowskich" i nie piszę III-go z obawy przed tym duchowym lenistwem, które zabija wszystko i grozi zupełnym wyjałowieniem umysłowym.

Wolność! Czy tam się ona ostoi, gdzie od upodobania i łaski jednych zależeć będzie sposób utrzymania bytu wolność przebywania na ziemi całej reszty towarzystwa ludzkiego?

Stanisław Worcell

Gdy wydałem „W Grzmiącej“, obraziła się na mnie inteligencja postępowa, głównie szlacheckiego pochodzenia, za „oczernienie polskiego chłopa“, którego oni stylizują od przeszło pół wieku i nie mogli go u mnie tak samo poznać jak i p. Czermiński. Dąsa się i wystylizowany przez tę inteligencję chłopek, który przywykł już do malowania go z głupią twarzą i tego się nie wstydzi. Byle ładny był i poczciwy, żeby się nie wstydził w mieście swojej psychiki życia codziennego, nieco innego, niż u Boryny, oraz swych myśli, nieco odmiennych od słów, które prawi panom w oczy.

Za „Mianowskich“ znów się obrażono. Ziemianie za spospolitowanie ich świetnych tradycji i rodów. (Ukazał się nawet publiczny protest). Część inteligencji postępowej obraziła się za hamletyzm Czesława, a część bliższa p. Czermińskiemu za brak bezpośredniego frazesu buntarskiego, czy za coś, co trudno zrozumieć.

I to jest ta polska rzeczywistość dzisiejsza, o której pisał Hulka-Laskowski. Nie razi nikogo tylko książka bez problemu. (Forma? Tam gdzie nie ma problemu, nie ma człowieka, nizanie błyskotek ułatwia formę. Mnie istotnie na to nie stać. Ale to chyba dla socjologa nie jest najważniejsze).

Balzac, mimo wulgaryzmu władzy młodego mieszczaństwa, mógł ogłosić takie dzieła, jak „Chłopi“, „Kuzyn Pons“ itd. Ale kto to ścierpi w Polsce, gdzie oddawna nie wolno było naruszyć uświęconego głupstwa? Reflektor odwrócony z dołu do góry razi na prawo i na lewo. Ale to nie może wpłynąć na zahamowanie mojej walki o prawdę i w tej prawdzie ogólnej o odkłamanie chłopów.

Kto między innymi i z inteligencji zechce z tego korzystać, prawa, czy lewa strona, ja na to żadnego wpływu nie mam. Uważam, że porozumienie inteligencji z chłopami wcale by na złe nie wyszło ani chłopom, ani inteligencji, ani Polsce.

WŁADYSŁAW KOWALSKI.

Poezja polska i rasizm

Syntetyczne ujęcie współczesnej sobie rzeczywistości literackiej nie jest łatwym zadaniem dla krytyka — i zawsze bardzo ryzykownym. Brak niezbędnej perspektywy, płynność materiału, trudności w doborze właściwych kryteriów klasyfikacyjnych, zwłaszcza dla zjawisk nowych, nieraz nieoczekiwanych — wszystko to razem sprawia, że na ogół lwia część prób dokonania takiego „zdjęcia na migawkę“ wypada niezbyt szczęśliwie. Rezultat „nie wychodzi“, czy też wychodzi wręcz żałośnie, nawet w warunkach koniecznego objektywizmu ze strony krytyka. Żywa twórczość ulegająca nieustannym przemianom ewolucji, wymyka się ocenom — rozsadza niejednokrotnie zbyt szczupłe ich miary, lub — co nie lepiej — śmiesznie paraduje w nieco za obszernie dla siebie skrojonym odzieniu przesadnego uznania.

Podobne trudności przedstawia opracowanie wzorowej antologii współczesnej sobie twórczości literackiej czy też jednego choćby z jej rodzajów.

Stąd brak nam i takiego opracowania dzisiejszej poezji polskiej, która byłaby do przyjęcia, i takiej jej antologii.

Jeśli tak kształtuje się sytuacja w przypadku ewentualnego nawet dotrzymania warunku względnego obiektywizmu, to cóż dopiero, kiedy ten warunek zostaje świadomie zlekceważony: otrzymujemy wówczas w wyniku już nie mniej lub więcej zniekształcony obraz a złośliwą karykaturę.

Właśnie jako zeszyt 1-2 (40-41) miesięcznika *„Okolica Poetów“* za styczeń — luty b. r. ukazała się obszerna praca redaktora tego czasopisma — *Stanisława Czernika — pt. „Dwadzieścia lat poezji polskiej (1918 — 1938) — Szkic — Próba antologii — Bio- i bibliografia“.*

Otóż praca ta znakomicie może posłużyć za ilustrację sformułowanych przez mnie na wstępie uwag.

Pozostawiając specjalnym czasopismom literackim szczegółowe omawianie rozważań Czernika, przejdźmy odrazu bez wdawania się w drobiazgi do głównej kwestii, stanowiącej zrąb jego pracy, a którą sam autor określa jako pewnego rodzaju *novum* wprowadzone do obrazu współczesnej poezji polskiej. To novum stanowi dokonany przez Czernika wybór „sprawdzianu klasyfikacyjnego“, a jeszcze bardziej wynikające z tego wyboru konsekwencje.

„Wydawałoby się — pisze Czernik — że najlepszym kryterium byłyby kierunki literackie, z tego też punktu dotychczas przeważnie rozpatrywano zagadnienie. Nie negując wartości takich linii demarkacyjnych, pragnąłem zastosować inne“.

Czyniąc zadość swemu pragnieniu — „dla odświeżenia zagadnień“ — przyjmuje Czernik jako podstawę do klasyfikacji twórczości poetów ich pochodzenie. Już samo przyjęcie tego „socjologicznego“ kryterium, acz zasadniczo mogące przynieść w rezultacie wcale ciekawe wnioski, musi wzbudzić poważne zastrzeżenia. O ile bowiem pochodzenie pisarza nie pozostaje niewątpliwie bez wpływu na jego twórczość (teoria środowiska), o tyle trudno na podstawie materiału historyczno-literackiego, jakim rozporządzamy, twierdzić kategorycznie, że posiada ono najistotniejszy wpływ na rozwój i charakter twórczości. Moglibyśmy przecież bez najmniejszego wysiłku przytoczyć tu niezliczoną ilość przykładów na poparcie swego zdania — ale mniejsza z tym. Chodzi o inną kwestię, a mianowicie — o jakie to „pochodzenie“ idzie Czernikowi, kiedy je przyjmuje za zasadę klasyfikacji? Klasowe? Narodowościowe? Wyznaniowe?

I tu dopiero trzymamy byka za rogi. Bo oto okazuje się, że ostrzeszowski krytyk nie uwzględnia bynajmniej w przeprowadzanym przez siebie podziale jakiegoś jednolitego pojęcia „pochodzenia“, ale klasyfikuje poetów wedle swego dowolnego uznania — jak mu wygodniej — na „pochodzenia ludowego“ (wiejskiego i miejskiego), „semickiego“ (żydzi bez różnicy pochodzenia klasowego) oraz mieszczańsko-poszlacheckiego (inteligencka „góra“).

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI“ JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

Ten — jak widać — wbrew pozorom dość dowolny podział umożliwia mu w konsekwencji smażenie na jednym rożnie owego „pochodzenia“ wielu pieczeni naraz.

Przede wszystkim więc to ‚estetyczne“ kryterium pozwala na wyodrębnienie z całokształtu współczesnej poezji polskiej „kondominium“ polsko-żydowskiego, co uważa redaktor „Okolicy Poetów“ za sprawę należącą „do zagadnień drażliwych ale koniecznych“ (dlaczego?). Przynależność tego „kondominium“ — tej „wyspy“ do literatury polskiej, zdaniem Czernika, należy uważać raczej za wątpliwą.

Otóż „kawa na ława“: rzecz w tym, że Czernik zwąchawszy, skąd wiatry wieją (wiatr od bliskiego Zachodu), uznał że nie język, w którym poeta tworzy, decyduje tu o przynależności — ale *rasa* (Goebbels). Rasa decyduje. Czemu to jednak tak późno — i to właśnie dopiero teraz — doszedł redaktor „Okolicy Poetów“ do tego niezbyt zresztą orginalnego (a może już nawet spóźnionego) sformułowania?

Powiada Norwid:

„Nie ma — bo jak krytyki rzemiosło sprężyste,
Na czytelników krótkiej oparte pamięci...“

I owóż mając dobrze w pamięci to zdanie wielkiego poety, zapytujemy, czemu to — jak słusznie zwraca uwagę w „Kamenie“ K. A. Jaworski — zamieszczał Czernik w redagowanym przez siebie czasopiśmie utwory takich poetów jak Tuwim, Napierski, Jastrun, Słobodnik, Arnsztajnowa — których przynależność do literatury polskiej stawia teraz pod znakiem zapytania? Czemu to w tej samej „Okolicy Poetów“ do niedawna jeszcze drukował wiersze Weintrauba, Śpiewaka, Rzeczycy, Szereszewskiej. a dziś im nawet nie raczył przyznać skromnego miejsca w zestawionym przez siebie alfabetycznym spisie współczesnych poetów polskich? Czemu to nie zawahał się zgodzić na to, aby pod znakiem „Biblioteki Okolicy Poetów“ wydane zostały wiersze Wygodzkiego?

Czyżby ostateczna(?) dojrzałość myśli estetycznej przyszła dopiero obecnie — w czterdziestym roku życia?

Pozazdrościwszy gorzkich laurów innemu redaktorowi („pochodzenia szlachecko-żydowskiego“), nie zdobył się jednak Czernik na męską (aryjską) decyzję w sprawie wyodrębnionych w „kondominium“ poetów-semitów. Snać nie będąc tak bardzo pewnym trwałości panoszących się dzisiaj nastrojów, wolał pozostawić wyrokowanie „instancji późniejszej w ostatecznym rozrachunku przyszłości“.

Po tym wszystkim pisać jeszcze, że wyodrębnienie innej grupy — „ludowej“, konieczne było krytykowi dla przypisania jej tendencji rozwojowej po linii wskazań twórcy „autentyzmu“. Że niby „sielska“ (poco te anachronizmy?) krzepa wszędzie i „autentyzm“ — gdzie go niema „żydzi“ i mięta. Wskazywać, że w tej grupie znalazło się miejsce na wiersz poety Czernika i wiele ciepłych słów o poecie, podczas gdy w całej rozprawie jedno tylko zdanie o Jerzym Liebercie — i ani jednego wiersza Lieberta w proponowanej przez Czernika antologii!

I z taką ignorancją współczesnej poezji polskiej — ba! z takim najprymitywniejszym brakiem poczucia taktu zabierać się — do czego? do klasyfikacji poetów, do oceny dzisiejszej liryki polskiej!

„Poezja powojenna — pisze Czernik — dotknięta została fatalnym piętnem barbarzyństwa. Wprawdzie u poetów „pierwszej klasy“ ten nalot jest mniej widoczny, ale tym silniejsze pozostawia wrażenie przy zstępowaniu w dół, ku poetom niższego, podlejszego lotu...“

Czytamy te słowa, kiwamy głową i nie mamy ochoty nic do nich dodawać, kiedy myślimy w tej chwili o redaktorze „Okolicy Poetów“.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Książki

Elżbieta Szemplińska: „Kochankowie z Warszawy“. Wydaw. T-wa Rój. Warszawa, 1938.

I znów Daria. Tak samo niepokojąca i daleka, ekstrawagancka i nieuchwytna. Życie jest dla niej estradą, po której przebiega w swym fascynującym tańcu. Każde następne pas, każda następna zmiana rytmu — to coś nieprzewidzianego przez zasugerowane artystką jej otoczenie — widownię. Coś, co spada jak nieuchronna konieczność, a czego nawet Daria nie rozumie. Daremnie szukając klucza do własnej rzeczywistości, Daria zaczyna przerastać ramy fikcji, staje się dręczącą i denerwującą zagadką, której rozwiązanie pasjonuje dlatego, że w chwili, gdy zdawałoby się, jest już bliskie, staje się nagle niemożliwe i znów dalekie. Emanacja rzeczywistości i fantazji — Daria, jak błędny ognik ciągnie idącego za nim wędrowca ku topieli, z której dla tych, co się dali ponieść iluzjom — jest jedno tylko wyjście — osobista tragedia. Wyzwolić się z niej już niepodobna. Nie umiał tego dokonać Piotr. Nie poradzi sobie z cierpieniem ani mądry, szlachetny Urban, ani dobry, choć szalony nieco Ludwik. Cofną się też Jung, Niedźwiedzki, Matylda, Hornik. Wszyscy oni byli ludźmi rzeczywistości i dlatego nie znaleźli Darii. Daria bowiem istnieje poza nią.

Jak tancerka, wykonująca swą rolę jest symbolem muzyki, tworzącej i kształtującej jej taniec, tak Daria jest tym czym ją ktoś chce widzieć. Dla każdego — choć inna — jednak jest pewną cząstką jego rzeczywistości, ale dla wszystkich jest w tej inności jednakowa. I to stanowi jej tajemnicę. Schwytana na chwilę miłością Ludwika, ukazuje swą „wiecznie ruchliwą“ naturę w krzyżujących się błyskach demonizmu i prostoty, ekscentryczności i szablonu.

Żywy, błyskotliwy talent Szemplińskiej pozwala nam widzieć oboje jej Kochanków z Warszawy przed barwnym reflektorem jej artyzmu w coraz to innych oświetleniach.

Daria gorączkowo szuka siebie, swojego „Ja“. I świetnie jej się to nie udaje. „Miesza rzeczy ważne i drobiazgi, nie wie, co jest marginesem tylko, co istotną treścią, błądzi, plącze się“ a że w ogóle umie to wszystko pogodzić, to tylko dlatego, że nie przeżywa wszystkiego naraz a wybiera sobie tylko jedną rzecz — Ludwika. I oto para zestrojonych świetnie w swym stosunku do życia kochanków. Ona — artystka. On — pełen zapału wyżywania się młodzieniec. Czy przypominają swoich tkliwych pradziadków z Werony? Nie bardzo. Może kochają się. Pewnie tak. Ale nie uświadamiają sobie dlaczego tak się stało i poco tak się dzieje.

Sentymentalizm i romantyzm ich uczucia nie przypominają swoich eterycznych pierwowzorów ze stosunku Romea i Julii, Ludwik i Daria bowiem — to dzieci współczesności, która kipi w nich i porywa je za sobą, każąc przeżywać jaknajwięcej i jaknajszybciej.

W jej brutalnym pędzie nie wiele mają czasu na ckliwość. Gdy się jej niekiedy poddadzą to musi pomóc im kłamstwo. Po to, aby użyć sielanki nad morzem wymyśla Ludwik zaliczkę, urlop, posadę, ukrywając, że pieniądze wycyganił od matki, że nigdzie nie pracuje i że w ogóle za parę dni skończy się poczęta w takich warunkach sielanka, a nadejdzie rzeczywistość w cierpkiej postaci gospodyni pensjonatu, głodowanie i sromotna ucieczka. Dzisiejszy Romeo kradnie życiu sentymentalizm. Wydziera go siłą i jeżeli chce zdobyć swą Julię, musi kłamać, by nie wydać się jej i sobie małym. Jeżeli nie ma grosza, musi mówić przekonywująco o swej posadzie, swych stosnkuach i wpływach, musi zmyślać i udawać tak dobrze, by zapomniał, że jest różnica między prawdą i fantazją. Takim jest produkt dzisiejszości Ludwik. A jaka jest Julia — Daria? Czy mu wierzy? Może... czasem. On przecież jest dla niej tylko przygodą, trickiem w tej ich dziwnej, wahającej się między akrobacją i algebrą miłości. Oboje wiedzą o swych oszukaństwach. Dla niej jest to jednak w sztuce, którą nazwiemy „Współczesność" rolą, którą naprzekór sobie i wszystkim chce odegrać. I tak oboje żyją fikcją i rzeczywistością i wiedzą również oboje, że nie potrwa to długo. A tymczasem... przedrzeźniają Romea i Julię. Wśród ustawicznych wędrówek z mieszkania na mieszkanie, wśród zawiści, plotek i zazdrości otoczenia. Wśród beztroski i naprzemian tragikomicznej walki o byt kwitnie miłość kochanków z Warszawy, będąca wyrazem nowoczesnego tempa i awantury.

Cały ten bogaty chaos dnia dzisiejszego przedstawia Szemplińska z wnikliwym realizmem. W jego głębokim nurcie płyną wezbraną falą tworzone przez autorkę postacie, wypadki i sytuacje. Zanurza się w nich ekscentryczna postać Darii z jej nieodstępnym kocurem Januarym, przeżywającym swą pierwszą miłość.

Dzieje jego późniejszego pożycia małżeńskiego ze sjamską Ofelią, to jak zwykle u Szemplińskiej pełne dramatycznego napięcia i nadzwyczajne w swoim rodzaju partie powieści. Jest to nowy, oparty na intuicyjno-psychologicznym podkładzie stosunek do zwierzęcia. Po rozwlekłym, chaotycznym opowiadaniu o „Narodzinach człowieka" wystąpiła pisarka w tej swojej powieści jako skończona, umiejąca rozporządzać swymi środkami technicznymi artystka. Dzieje kochanków z Warszawy pozbawione niedomówień i domysłów przedstawione są w żywej, nieobciążonej żadnym balastem psychologizmu narracji. „Potrójny ślad" to w życiu Darii okres, mknący jakby ponad czasem, zatopiony jedynie w demoniźmie swej bohaterki. Perypetie pierwszych dni jej młodości —to scena, za której kulisami słychać rosnący szmer kapryśnej bogatej w przemiany, jak sama Daria epoki. Wyciska ona splotem swych zagadnień politycznych, społecznych i obyczajowych, najtrwalszy choć pozornie niewidoczny ślad na życiu bohaterów naszych czasów, kochanków z Warszawy.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

KOLUMNA ROZMAITOŚCI

PRZEDMOWA DO UNIWERSYTECKIEGO PODRĘCZNIKA

„Panu Ministrowi Rzeszy i Pruskiemu Ministrowi Spraw Wewnętrznych, D-rowi Frickowi, protektorowi znakomitych badań naukowych w Trzeciej Rzeszy, z wyrazami czci poświęca autor".

PHILIPP LENARD

NIEMIECKA FIZYKA W 4-CH TOMACH

„Niemiecka fizyka" — zapytają. Mógłbym także powiedzieć aryjska fizyka, lub fizyka typu nordyckiego, fizyka badaczy rzeczywistości, lub szukających prawdy, albo też fizyka tych, którzy ugruntowali badania przyrodnicze. „Fizyka jest i pozostanie międzynarodową" — niejedni zechcą oponować. W takim twierdzeniu zawsze jednak tkwi błąd. W rzeczywistości nauka, jak zresztą wszystko co ludzie tworzą, uwarunkowana jest krwią i rasą. Pozór międzynarodowości może powstać, gdy niesłusznie będziemy wnioskować o wspólnym pochodzeniu nauk przyrodniczych jedynie na podstawie wszędzie jednakowo sprawdzających się ich rezultatów, lub też gdy przeoczymy, że w innych krajach jedynie narody z domieszką, w dużej mierze, krwi aryjskiej mogły stworzyć nauki podobne, lub pokrewne naukom narodu niemieckiego.

Narody powstałe z mieszaniny innych ras mają inne sposoby kultuwowania nauki. Jak dotychczas, każdy naród rozpoczął swe badania nad naturą, opierając się na odżywczej glebie aryjskiego dorobku. Inne narody, z ich właściwościami rasowymi, ujawniającymi się dopiero po dłuższym rozwoju, zawsze przede wszystkim naśladowały aryjczyków, lub też współpracowały z nimi. Możnaby teraz mówić o fizyce Japończyków na podstawie istniejącej już ich literatury, w przeszłości istniała fizyka Arabów, o fizyce Murzynów nic nie wiadomo. Natomiast bardzo szeroko rozwinęła się fizyka Żydów, którą dotychczas mało znano, gdyż literaturę

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

naukową zazwyczaj klasyfikuje się według języków, w jakich jest pisana. Żydzi są wszędzie i dlatego obrońcy twierdzenia o międzynarodowości nauk przyrodniczych podświadomie myślą o ich żydowskich pierwiastkach, co w gruncie rzeczy równoznaczne jest z ich żydowskim charakterem.

Jest rzeczą istotną przyjrzeć się „fizyce" narodu żydowskiego ze względu na uderzające przeciwieństwo do niemieckiej fizyki, a dopiero rozpoznanie tego przeciwieństwa postawi fizykę niemiecką w odpowiednim świetle. Od niedawna fizyka żydowska, jak zresztą wszystko co żydowskie, stała się dostępna dla nieuprzedzonych badań naukowych. Przez długi czas fizyka żydowska była w ukryciu i tylko powoli rozwijała się. Z końcem wojny, gdy Żydzi w Niemczech zaczęli rządzić i ton nadawać, wystąpiła ona nagle, jak powódź, z całą swoją odrębnością. Wtedy też znalazła wielu gorących zwolenników z pośród badaczy nie-żydowskiej krwi, lub nie pełnej krwi żydowskiej. Żeby ją krótko i dobrze scharakteryzować, wystarczy wspomnieć działalność jej najznakomitszego przedstawiciela, Żyda czystej krwi, A .Einsteina. (Samo przez się rozumie się, że dzieło niniejsze nie uwzględni jego chybionej konstrukcji myślowej). Jego „Teorie względności" chciałyby całą fizykę przekształcić i opanować, ale w rzeczywistości ich rola już się skończyła. Nigdy nie starały się one być w zgodzie z rzeczywistością, gdyż Żydom w zadziwiający sposób brak zrozumienia dla prawdy, dla czegoś więcej niż pozornej zgody ze światem fizycznym, niezależnym od toku ludzkiego myślenia. A wszystko to pozostaje w przeciwieństwie do ciągle wytężonej i nieokiełznanej żądzy prawdy badaczy aryjskich.

Żydzi nie posiadają żadnego istotnego zrozumienia dla innych rzeczywistości, jak tylko dla mechanizmu ludzkich popędów i dla słabostek ludności kraju, z którego gościnności korzystają. Wydaje im się, że prawda i rzeczywistość nie wiele się różnią od fałszu, że są to raczej jedne z wielu możliwych konstrukcji myślowych. Nic więc dziwnego, że jest to powód ich zupełnej niezdolności do badań przyrodniczych. Braki te tuszują oni sprytnymi chwytami rachunkowymi, co przy ich nieokieznanej bezczelności, wraz ze zręczną współpracą ich współbraci rasowych umożliwiło im zbudowanie wielkiej fizyki żydowskiej, która już teraz zapełnia biblioteki. Zaś właściwy duchowi żydowskiemu pośpiech w ujawnianiu pomysłów działa zaraźliwie i destrukcyjnie, daje im to jednak osobiste korzyści, jak: poklask współbraci, prawo pierwszeństwa. Wielcy badacze aryjscy wzdragają się występować z czymś niepewnym, starają się przede wszystkim wypróbować w ciszy swoje ideje i zbadać, czy wytrzymują próbę rzeczywistości, obawiając się podawać przypuszczenia zamiast uznanych faktów. W ten sposób powstały publikacje o bogatej treści, które stanowią istotne kamienie graniczne postępku nauk przyrodniczych. W żydowskiej fizyce każde przypuszczenie, które nie jest całkowicie chybione, oceniane jest jako epokowe. Takim sposobem wartościowania dobija się działalność aryjską i pod tym względem dużo złego już dokonano. Obce pierwiastki duchowe działają paraliżująco, wszystko rasowo obce jest szkodliwe dla narodu niemieckiego.

Fizyka żydowska jest więc tylko fałszem i zjawiskiem zwyrodnienia zasadniczej fizyki aryjskiej. Trzeba było koniecznie tutaj podkreślić fakty, gdyż dopiero z uświadomienia sobie przeciwieństwa między żydowską, a aryjską fizyką, będzie można tę ostatnią całkowicie ocenić.

Niemcy są teraz w przystępie ratowania ducha aryjskiego na ziemi i w związku z tym możnaby ducha tego nazwać także „duchem niemieckim", a wpływ jego na nauki przyrodnicze stanowi o fizyce niemieckiej. Naród niemiecki ma pełne prawo pielęgnowania swoistości niemieckich nawet w nauce, zarówno dla dobra swojej ojczyzny, jak w celu zachowania najwyższych skarbów duchowych całej ludzkości. Takie zadanie stawia sobie dzieło niniejsze. Wszystkie dążenia skierowane dla jego ulepszenia opierają się wyłącznie na przesłankach przeciwieństw rasowych i na dotychczas zbyt niedocenianej przewadze wpływów ducha żydowskiego na nauki przyrodnicze. Heidelberg. Sierpień 1935 r.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA.

Niektóre objawy chorobowe, na skutek długoletniego wpływu żydowskiego, a które trudniej dają się usunąć, niż pierwotnie przypuszczałem, są w tym wydaniu jeszcze lepiej podkreślone. „Niemiecka fizyka" wskazuje drogę, jak złu zaradzić, gdy już ono jest ujawnione. W uznaniu swoich zasług przy ujawnianiu wpływu czynników rasowych otrzymałem w 1936 r. nagrodę Partii Narodowo-Socjalistycznej. Dowodzi to, że podobnie jak w dziedzinie sztuki, rząd zdecydowany jest pomóc przy zatamowaniu ciągle jeszcze zbyt rozplenionych wpływów obcokrajowców. Działalność ta nie jest skierowana przeciwko wolności badania, lecz wręcz jej służy, mianowicie służy ona właściwej narodowi niemieckiemu aryjskiej skłonności do badań przyrodniczych. Heidelberg. Grudzień. 1937 r.

DEMOKRACJA POLSKA PRZEZ WIEK CAŁY WALCZYŁA „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ". DZIŚ FASZYZM WALCZY „ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ".

Odpowiedzi redakcji

Panu W. D. w Bydgoszczy: Książka, o której Pan wspomina, będzie omówiona na łamach „Epoki".

Nauczycielowi w Lublinie: Najwidoczniej przeoczył Pan naszą odpowiedź w n-rze 6-ym „Epoki". Wyczerpującej pracy biograficznej o Wacławie Nałkowskim dotąd nikt nie napisał. Ukazywały się tylko okolicznościowe artykuły i szkice biograficzne. O zasługach naukowych Nałkowskiego jako geografa pisali między innymi: E. Romer, A. Sujkowski, St. Lencewicz. Jako o człowieku i pisarzu społecznym wypowiedzieli się między innymi: S. Demby, L. Belmont, W. Jezierski, Ign. Radliński, Wł. Spasowski. Natomiast pełny życiorys swego ojca przygotowuje obecnie Zofia Nałkowska. Większy fragment tej pracy, zgodnie z zapowiedzią, drukowany będzie w „Epoce".

Pani J. K. w Tomaszowie Maz.: Możemy służyć Pani zeszytami za II półrocze 1937 r., innych poprzednich nie możemy już odstąpić.

Pani E. W. w Zakopanem: Nie będziemy drukowali. Z całej serii najlepsze są i godne druku „Odwrócone skiby". Radzimy przesłać je do jednego z pism popularno-ludowych.

Panu H. R. w Kielcach: List Pana zdziwił nas przyjemnie i chętnie prostujemy swoją omyłkę.

Panu A. R. w Tarnowie: Możemy Panu służyć brakującymi numerami z roku ubiegłego, z wyjątkiem skonfiskowanych. Za miłe słowa bardzo Panu dziękujemy.

Panu J. O. w Miechowskim: Możemy tylko podziękować i zachęcić Pana do wyłożenia swych uwag i spostrzeżeń. Widać z listu wyraźnie, że głęboko odczuwa Pan duszę wsi dzisiejszej i rozumie jej nowe przeobrażenia. Więcej wiary w siebie! Nie jeden patentowany, pewny siebie „literat" gorzej formułuje swoje myśli, niż Pan i ma o wiele mniej do powiedzenia. Nie myli się Pan, o tą samą osobę chodzi, i choć wysoko ona ceni sobie to zaszczytne wyróżnienie, otrzymane z rąk chłopów, nie możemy o tym pisać na łamach „Epoki", gdyż mogłoby to mieć cechy autoreklamy.

Nauczycielce w Piotrkowie: Nie wiemy, o jakie rzeczy głównie Pani chodzi. Dorobek J. Wł. Dawida obejmuje kilkadziesiąt pozycji, większość zaś prac jego jest już dawno wyczerpana. Wyrażenie P. Hulki-Laskowskiego jest słuszne i głęboko prawdziwe: autor „O duszy nauczycielstwa" i redaktor „Przeglądu Pedagogicznego" był istotnie nieoficjalnym ministrem oświecenia pod zaborem, gdyż organizował oświatę polską i wychowanie, kształcił nauczycielstwo i zaprawiał je w duchu nowoczesnych kierunków i osiągnięć pedagogicznych do walki o duszę dziecka i do obrony przed rusyfikacją i germanizacją. Olbrzymie jego zasługi na tym polu czekają jeszcze na gruntowne oświetlenie. Za piękne listy i serdeczne wyrazy bardzo Pani dziękujemy.

Pani Z. A. w Inowrocławiu: Z uwag Pani prawdopodobnie skorzystamy. Numery wysłaliśmy.

Książki nadesłane

Wydawnictwa Powszechnego Towarzystwa Wydawniczego.

Silvia von Bornstedt: Dziecko przeżywa wielką wojnę. Powieść. Przełożył **Jerzy Marten.** Warszawa, 1939.

Storm Jameson: Nowy posiew. Powieść I. Zmierzch potęgi. Powieść II. Przełożyła **Róża Centnerszwerowa.** Warszawa, 1939.

Teodor Dreiser: Tytan. Powieść III. Pieniądz i zdrada. IV. Przełożył **Marceli Tarnowski.** Warszawa 1939.

E. M. Delafield: Nie mam już domu. Powieść. Przełożyła **Xenia Żytomirska.** Warszawa 1939.

Daphne du Maurier: Już nigdy nie będę młody. Powieść. Przełożyła **Ewa Przysuska.** Warszawa 1939.

Warwick Deeping: Zdobyte serce. Powieść. Przełożyła **H. Bukowska.** Warszawa 1939.

W. B. Maxwell: Vivien. Powieść I. Nowe życie Vivien II. Zwycięstwo Vivien III. Powieść. Przełożyła **Janina Zawisza-Krasuska.** Warszawa 1939.

E. A. Rheinhardt: Józefina. Powieść biograficzna z ilustracjami. Przełożył **Bolesław Jacek Frühling.** Warszawa 1939.

Mikołaj Mironowicz: Kaukaz w płomieniach. Powieść. Warszawa, 1939.

Krystyn T. Wand: Czerwony diabeł. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1939.

Maria Kruczkowska: Sprawiedliwy z Sodomy. Powieść. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1939.

Imgard Keun: Pośpieszny III klasa. Powieść. Przełożyła **Marta Grabiańska.** Instytut Wydawniczy „Plan". Warszawa 1939.

Aleksander Kalina: Człowiek z Bożej łaski. Wydawn. „Nowa Powieść". Warszawa 1939.

Dr. Jan Haytler: Projekt reformy uniwersyteckich studiów prawnych. Lwów — Warszawa 1939. Skł. Gł. Gebethner i Wolff.

Zofia Nałkowska: Niecierpliwi. Powieść. Książnica-Atlas. Warszawa 1939.

Janina Brzostowska: Naszyjnik wieczności. Poezje. Warszawa 1939. Wydawnictwo „Skawa".

Od Wydawnictwa

Abonentów,
którzy
zalegają
z opłatą prenumeraty za
kwartał ubiegły i bieżący
prosimy
o uregulowanie
należności.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 369 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.